DZIŚ: 6 STRON
Z „ŻYCIEM AKADEMICKIM"

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

ROK V. NR 26/269/

LONDYN, NIEDZIELA 24 CZERWCA 1951 R.

JAN BIELATOWICZ

O KILKU PROBLEMACH POWIEŚCI KATOLICKIEJ

»O BOŻE, UKOCHAŁEM PIĘKNO TWEGO DOMU«

Twórczość pisarska Grahama Greene'a dotyka sedna sprawy nowoczesnego humanizmu katolickiego. Greene jeśli nie jest najwybitniejszym ze wszystkich żyjących pisarzy świata, to napewno może być uważany za najwybitniejszego z pisarzy katolickich.

„Dzieło angielskiego pisarza katolickiego — pisał Mauriac — wywiera na mnie zawsze wrażenie pewnej niespodzianki. Zapewne — odkrywam w nim moją duchową ojczyznę, do serca znajomych mi tajemnic wprowadza mnie Graham Greene. Lecz to wygląda tak, jakbym wchodził do starego domu przez stare, nieużywane drzwi, nieznane mi, ukryte w murze zarośniętym bluszczem... Katolik francuski wchodzi do Kościoła przez drzwi główne..." „Nie tylko z powodu wyższości nad większością współczesnych lubię dzieła Gr. Greene'a i Evelyna Waugh. Lubię je również dlatego, że Graham Greene i Evelyn Waugh wywołują we mnie chęć stania się świętym..." — opinia świetnego pisarza Bruce Marshalla. „Greene ... to pisarz na miarę Conrada czy Sygrydy Undset,... iście conradowskim ciężarem zapadający w duszę czytelnika." „Przeczytanie „Sedna sprawy" nie jest przygodą literacką. Jest przygodą życiową" — sądzi Zofia Starowieyska-Morstinowa.

Przed kilkunastu dniami ukazała się w druku pierwsza monografia krytyczna twórczości Greene'a pióra dwojga wykładowców literatury angielskiej na uniwersytecie w Liverpool, Kennetha Allott oraz Miriam Farris, zatytułowana „Sztuka Grahama Greene'a" („The Art of Graham Greene"). Na marginesie tej książki krytyka literacka w Anglii notuje prawie jednogłośnie zdanie, iż Greene jest najwybitniejszym z tworzących powieściopisarzy angielskich doby dzisiejszej. Zarówno wspomniana monografia o twórczości Greene'a, jak i opinie krytyków nie pochodzą spod piór pisarzy katolickich. Jest to zatem sąd wyłącznie o literackich i humanistycznych wartościach dzieł Greene'a.

Ich powodzenie światowe dowodzi z jednej strony powszechności sumienia i wszechludzkiej tęsknoty do Boga, z drugiej zaś wysokiej próby beztendencyjności artystycznej pisarza. Jak rzeźbiarz czy malarz oddają oczom ludzkim swe posągi i obrazy, aby mówiły same za siebie kształtem, barwą i treścią, bez dodatkowych objaśnień pismem czy słowem, tak i wielki pisarz nie tłumaczy i nie objaśnia swych postaci ni idej utworów. Powiększają one dzieła stworzenia i idą w świat ze swym własnym życiem. Im większej miary dzieło, tym życie jego bardziej niepodległe. Im więcej mocy twórczej w dziele, tym silniej żyje ono w ludziach po zamknięciu ostatniej kartki książki. Powieści Greene'a, jak wiele innych współczesnych, pobudziły najsprzeczniejsze opinie: od ostentacji zgorszenia, nawoływania do zakazów i nawet jawnego potępienia (Episkopat Irlandii potępił „Przemoc i chwałę") do entuzjazmu i stawiania powieści za wzór hagiograficzny i modlitewny.

Greene, niezależnie od nurtu humanistycznego twórczości, jest zresztą mistrzem prozy narratywnej. Jest to pisarz klasycznej szkoły piśmiennictwa angielskiego, która jest literaturą bez przesądów: nie waha się posługiwać wątkami i techniką detektywistyczno-kryminalną dla celów beletrystycznych. Wirtuozi stylu i myśli, jak Chesterton, jak Greene, jak Evelyn Waugh, czerpią pełnymi garściami z rogu obfitości sensacyjnych. Stąd dzieła ich równocześnie płyną głębokim nurtem myśli i sumienia oraz szumnymi potokami porywającej fikcji.

Uwagi poniższe poświęcone są wytyczeniu kilku, być może ważniejszych problemów współczesnej literatury katolickiej w oparciu o twórczość Grahama Greene'a; nie omawiają więc ani jego twórczości specjalnie ani pełnej problematyki katolickiej literatury pięknej.

Oceniając twórczość literacką, niepodobna zapominać, że nie jest to literatura teologiczna. Literatura piękna nie pragnie być niczym więcej, jak tylko sztuką. Jej celem i sensem istnienia jest odrębność i od sztuki i od religii. Wszystkie te trzy domeny życia ludzkiego: religia, wiedza i sztuka posiadają wspólny cel i wspólny kierunek dążenia, ale każda z nich posiada własną drogę. Religia pilnuje kierunku i musi wzywać obie swe siostry do nieodchodzenia nazbyt daleko. Ale wiedza i sztuka mogą również ułatwiać odnajdywanie właściwej drogi religii, pozwalają jej swymi światłami na doskonalsze spojrzenie na drogę ku Bogu, na ludzką naturę i duszę. One też sprawiają, że człowiek chętniej idzie drogą do Boga, niż wówczas, gdyby musiał słuchać tylko surowych nakazów religii. Zresztą człowiek stworzony jest poto z Bożej łaski, aby świat poznawał, doświadczał i kształtował władzami własnej duszy i własnego ciała, aby mierzył swoje siły w walce z naturą i szatanem i aby otrzymane od Boga talenty pomnażał w ciągu swego życia.

Pełnej prawdy o świecie zmysłowym i pozazmysłowym nie zna ani religia ani nauka ani sztuka. Dążenie do prawdy jest jednak nie tylko prawem, ale i obowiązkiem człowieka. Religii w tym poszukiwaniu mylić się nie wolno, gdyż ona tylko jedna posiada nieomylny Urząd Nauczycielski, bezpośrednio związany z łaską niebios. Nauka i sztuka szukając podlegają omyłkom, gdyż nie ma innego sposobu dla człowieka na ziemi. Poszukiwanie musi być dotykaniem błędów, musi być spoglądaniem w przepaści i chwilowym wchodzeniem na mylne ścieżki. Nie można więc ani do nauki ani do sztuki, podlegających prawom ludzkiej natury i zdanym wyłącznie na siły człowieka, przykładać miar ściśle teologicznych, miar nieomylnych, objawionych.

Kościół głosi pierwszeństwo etyki w każdym przejawie życia i działania ludzi. Postulat ten w sztuce dotyczy odpowiedzialności moralnej artysty jako twórcy, a więc intencji jego tworzenia i wpływu moralnego dzieła. Terytorium leżące w granicach pomiędzy moralnym zamiarem i moralnym oddziaływaniem dzieła jest wolnością artysty. Twórczość artystyczna jest wolna i niepodległa w obrębie wyżej wymienionych granic. Posiada własne prawa i własne życie. Nie trudno się domyśleć, że w granicach moralności osobistej artysty i moralnego sensu jego dzieła nie ma miejsca na wolność, która by była moralną anarchią. Przeciwnie moralność artysty nakazuje mu nawet uczciwość artystyczną w tworzeniu, doskonałość jego rzemiosła.

Religia, wiedza i sztuka są pojęciami różnymi, ale nie przeciwstawnymi. Ich przedmioty i zakres działania nie tylko się zazębiają, ale w odniesieniu do osoby ludzkiej są wspólne. Ani religia, ani nauka, ani sztuka, nie mogą brać na swą wyłączność duszy ludzkiej. Muszą się one wspierać wzajemnie w poszukiwaniu pełnej prawdy o człowieku. Stąd też sztuka ma nie tylko prawo, ale i obowiązek zarówno naukowego badania duszy, jak i naświetlanie problemów jej sumienia i jego stosunku do Boga. Sąd nad tymi dociekaniami sztuki wolno wydawać i religii i nauce, lecz pod warunkiem uszanowania przez nie autonomii sztuki. Sztuka może być religii pomocną, a religia musi rozumieć wolność sztuki.

Padło już w tym artykule określenie: humanizm katolicki. Zwrócił nań uwagę przy omawianiu „Pierwszej książki Greene'a po polsku" Jan Dobraczyński w krakowskim „Znaku", choć wydaje się, że Dobraczyński bardzo dowolnie zinterpretował nowy typ humanizmu katolickiego (boć katolicyzm zawsze był humanistyczny). Jan Dobraczyński upatruje humanizm w samotności wybitnych duchów, w świętości ludzi naszej epoki, dzięki którym „rośnie ideał życia katolickiego". Sięganie szczytów człowieczeństwa miałoby być wedle tego poglądu nowym humanizmem.

Nie taki jednak humanizm — choć bywa i taki, jak świadczą powieści G. Bernanosa, a u nas Wł. J. Grabskiego — jest przędziwem i treścią większości dzieł współczesnej literatury katolickiej.

Humanizm bowiem to jest typowość ludzka, arcyludzkość, ludzkość pełna, a nie niezwykłość i prometejskość. Nie odwracanie się od masy, jej tęsknot i uczuć, lecz cierpliwe jej słuchanie, jak w konfesjonale. Nie ucieczka od człowieczeństwa, lecz przytulenie do serca jego znękanej głowy. Człowiek w swojej nikłości, w swej bezradności, w swojej ludzkości — oto jest przedmiot współczesnej literatury katolickiej. Wielkości szuka ona nie na ośnieżonych szczytach, lecz na dolinach i pagórkach dusz przeciętnych. Święci naszych czasów, to nie dowódcy rycerskich krucjat ni królowie, bijący gościńce wierze w głąb dzikich krajów i fundujący katedry, ale maluczcy i prostaczkowie — świątobliwi zakonnicy, służące, dzieweczki z kurnych chat pontyńskich.

Trzy szczególnie problemy powtarzają się na kartach współczesnych katolickich powieści: godność ludzkiej osoby, poszanowanie ciała i miłosierdzie. Te trzy problemy stanowią również ogniska katolickich powieści Greene'a.

Może to i paradoks, co na temat ciała napisał Chesterton, ale jest w nim jądro prawdy: „Chrześcijaństwo od samego zarania nacechowane było mistycznym materializmem; jego prawdziwą duszą było ciało. Przeciw stoickim systemom filozoficznym i wschodnim przeczeniom, będącym najwcześniejszymi wrogami chrześcijaństwa, walczyło ono zacięcie o nadnaturalne prawo do leczenia uchwytnych chorób przy pomocy uchwytnych środków. Toteż rozpowszechnianie relikwii równało się rozrzucaniu nasion." („Zarys dziejów Anglii").

Problemy godności ciała i ludzkiej osoby są ściśle ze sobą powiązane. Największym światłem zapłonęły one — właśnie w naszej epoce — przez ogłoszenie dogmatu o Wniebowzięciu Najświętszej Marii Panny. Oto co na ten temat napisał Graham Greene: „W dniu dzisiejszym nie ma wyraźnych oznak heretyckich wierzeń na temat Wniebowzięcia Matki Boskiej wewnątrz Kościoła i dlatego niektórzy katolicy sądzili, że ogłaszanie dogmatu jest zbyteczne. Ale katolicy nie mogą dziś pozostać całkiem nie tknięci powszechną herezją naszych czasów: nieważnością jednostki. Ciało ludzkie uważa się dziś za surowiec, za coś, czego można pozbyć się hurtem przy pomocy bomby atomowej, za jakiś rodzaj anonimowego mięsa. Po pierwszej wojnie światowej krzyże oznaczały miejsca, gdzie leżeli umarli sprzymierzeni i nieprzyjaciele; ognie płonęły nieustannie w stolicach Europy nad grobami nieznanych żołnierzy. Ale dzisiaj żadne krzyże nie znaczą wspólnych grobów, do których wrzucono zmarłych Londynu i Berlina, a pomnikiem wojennym Hiroszimy jest zarys ciała, odfotografowany na asfalcie przez błyskawicę żaru. Dogmat Wniebowzięcia głosi znowu prawdę naszego zmartwychwstania, wieczyste przeznaczenie każdego ciała ludzkiego."

(„Panna Święta i Jej Wniebowzięcie").

Kopułą twórczości Greene'a jest miłosierdzie. „Niesposób czytać książek Greene'a nie dostrzegając zarazem uporu, z jakim autor kładzie nacisk na konieczność litości i na nadzieję miłosierdzia." (Br. Marshall). Bernanos w całej swej pełnej piękna i grozy twórczości jest dla człowieka bezlitosnym. Jego Bóg, to tylko karzący Sędzia, a grzech, to wieczysty sojusz z piekłem. „Poskromić grzesznika! O, śmieszna myśl! Poskromić słabość i tchórzostwo! Kogo nie zmęczy stałe podnoszenie bezwładnej masy? Wszyscy są jednakowi! Nawet w uniesieniach spowiedzi, nawet w uldze odpuszczenia — kłamcy, odwieczni kłamcy! Odgrywają rolę ludzi mocnych, którym nie nałoży wędzidła prawo, religia, moralność, którzy proszą się o silną rękę!" („Pod słońcem szatana"). Dla człowieka nie widzi Bernanos innej drogi, jak tylko heroiczna i męczeńska świętość. Słabości ludzkiej i błądzeniu nie pozostawia nadziei.

Całkiem inny jest pisarz angielski. Greene jest apostołem grzeszników. Zarówno on, jak i inni katoliccy pisarze angielscy, głoszą pierwszeństwo wiary przed moralnością. Na nic nie przyda się wedle nich oschłe posłuszeństwo dogmatom, niewolnicze pilnowanie liter wszystkich praw i zarządzeń, jeśli się zapomni o właściwym duchu Ewangelii. Człowiek poszukuje w religii ręki macierzyńskiej, wiodącej go przez mroki życia, a nie drogowskazów, na których wypisano same tylko zakazy. Pełna doskonałość ludzka nie jest z tego świata i dlatego człowiek współczesny tęskni z całego serca do miłości, przebaczenia i miłosierdzia, które zdobyło się na słowa: *„I ja cię nie potępię. Idź, a nie grzesz dalej."* (Jan 8, 11).

Wielu pisarzy katolickich a z nimi i Greene sądzi, iż wartościowsze jest życie w wierze, choćby i niedoskonałe, ale wypełnione myślą, walką i dążeniem do Boga, niż „sprawiedliwy egoizm". Zadufanie w doskonałości było grzechem strąconych aniołów.

Fakt grzechu i nieustanna walka z nim — oto dola ludzka. Są ludzie, którzy grzech dostrzegają dopiero w wielkich zbrodniach i wyjątkowych upadkach, a nie widzą go każdej godziny, jak nieodstępnego cienia w bezwładzie ciała, namiętności pokus, w dłoni zaciśniętej na widok nędzy, w ustach zamkniętych na głos bluźnierstwa, w żrącej dusze powszedniej bezwolności. Dawna literatura zajmowała się tylko wielkimi zbrodniami i burzami namiętności. Dziś zajmuje się owym cieniem, chodzącym za człowiekiem przez całe jego życie — grzechem codziennym, pokusą, która jest zrośnięta z ciałem i naturą.

„Grzech rzadko wchodzi w nas przemocą, przeważnie wkrada się podstępnie. Wciska się jak powietrze. Nie ma ani kształtu, ani koloru, ani właściwego sobie smaku, lecz przybiera wszystkie." (Bernanos „Pod słońcem szatana"). Współczesna literatura katolicka jest historią walki ludzi z grzechem.

Znany teolog angielski, Ojciec C. C. Martindale, S. J. wziął kiedyś publicznie w obronę atakowane przez gorliwców „Sedno sprawy" Grahama Greene'a. „To, co powinno poruszyć wielu — pisał — to nie oszustwo, intrygi, snobizm, rozwiązłość — lecz odkrycie rzeczy równie prawdziwej: że w takim świecie mogą żyć ludzie, którzy bez wątpienia są słabi, którzy grzeszą, ale którzy straszliwie cierpią nad tym, że są grzeszni. Jeśli Scobie jest okazem wyjątkowym, to nie dlatego, że grzeszył, ale dlatego, że jego grzechy sprawiały mu taką mękę." (List w „Catholic Herald"). Greene — pisała Z. Starowieyska Morstinowa — demaskuje grzech. „Odziera go z wszelkich ozdób, ogołaca, ukazuje w jego istotnej brzydocie i wstydzie". Fatalizm losu ludzkiego w dawnej literaturze zastąpił dramat walki z grzechem w nowoczesnej.

Grzesznik, walczący zaciekle i rozpaczliwie z grzechem, choć częściej ulegający w walce, niż zwycięski, stoi podobnie jak święty w środku sprawy chrześcijaństwa. „Morał powieści „Potęga i chwała" polega na stwierdzeniu, że stłuczone pozornie naczynie zawiera często więcej łaski, niż to, które wydaje się całe." — sądzi Marshall. Sam Marshall także w swojej twórczości dowiódł, że pragnienie Boga może się tlić w sercu panienki lekkich obyczajów, pijanicy marynarza czy wojaka hulaki. Kto wie, czy najbardziej pokornymi nie są ci ludzie, którzy doznali upadków. Tylko Bóg jeden wie, co się dzieje w sercu ludzkim.

Bóg jeden — i to jest szczyt humanizmu współczesnej katolickiej literatury a zwłaszcza Greene'a — kocha ludzi, wiedząc o nich wszystko najgorsze. Litość jest tedy nakazem niebios. Miłosierdzie zaś Boże jest bramą, która wiedzie do życia lepszego. Major Scobie w godzinie samobójczej śmierci trafił w szeroko otwarte wrota miłości. „Boże, kocham..." — to były ostatnie jego słowa na ziemi. Jakże bliskie tym słowom: *„Odpuszczone są liczne jej grzechy, bo wielce umiłowała."* (Łuk. 7, 47).

Niezmiernie charakterystyczny jest krótki artykulik Greene'a o Wniebowzięciu. Zaczyna się on takimi słowami: „Jest w kalendarzyku kościelnym jedna święta, której imię nie wiązało się nigdy z pojęciem kary; nawet sprawiedliwość jest jej obca w porównaniu z pojęciem miłosierdzia i miłości. Katolicy mówią o niej „Pani nasza".

W pogadance radiowej na temat „Dlaczego piszę?" wyłożył Graham Greene trzy zasady, które powinny towarzyszyć pisarzowi w jego pracy: pierwszym jego obowiązkiem jest umieć być nielojalnym wobec swej grupy, partii, czy nawet idei; drugim jest współczucie i litość dla człowieka niesłusznie osądzonego; trzecim współczucie i litość dla słusznie osądzonego. Któż nie pamięta wstrząsającej sceny z Greenowskiego filmu „Trzeci człowiek", kiedy szczuty jak zwierzę bandyta czepia się w śmiertelnym strachu kraty kanału. Czyż można w takiej sytuacji nie współczuć nawet ze zbrodniarzem?

„Lubię dzieła Grahama Greene'a i Evelyna Waugh — pisał Br. Marshall — dlatego, że wywołują we mnie chęć stania się świętym... Budzą we mnie pragnienie świętości, ponieważ piszą dobrą angielszczyzną, kreślą prawdziwe postacie i ukazują mi cały świat, o którym warto czytać." Oto najprościej, najpiękniej i najgłębiej sformułowana istota pisarstwa katolickiego i każdego w ogóle. Prawość wobec własnego dzieła. Zadaniem sztuki jest odkrywać prawdę. Oszczerstwa, kłamstwa i prostactwa nie wolno artyście stosować nawet wobec zła. Uczciwy artysta nie upraszcza sobie zła ani walki z nim. Zadaniem sztuki jest dobro i zło pokazać w kształtach prawdziwych, w barwach naturalnych. Artyzm jest również służbą Bogu. Dzieło sztuki musi być przepojone miłością i współczuciem. Dzieło sztuki musi się począć z tęsknoty za prawdą. Sztuka, która tworzy idee fałszywe i ludzi nieprawdziwych, oddala doskonałość od człowieka, zaciera rozróżnianie dobra i zła, ułatwia złu triumfowanie. Artysta musi być wierny swojej prawdzie. Prawda artystyczna jest bowiem częścią prawdy całej.

Jan Bielatowicz

JERZY DOŁĘGA-KOWALEWSKI

TU ES PETRUS

„Mamo, On jest przeźroczysty..."
Dziecko na posłuchaniu.

DŹWIGASZ —
okrutne brzemię. Nasze. Wszystko. Słowo.
Czyny i nieczynienie. Wokoło i w nas.
W alchemicznej retorcie rozkładasz w atomy
Widziane precyzyjnie: Potęgę i Czas.

Wydają się jak morze. Nam. Dla CIEBIE — kroplą
W oceanicznej głębi zlegając wieczność.
Rozumiesz, że w tej kropli krwiami się zepolił,
Goryczą skoncentrował, przed samotny klęcznik
Pozwany — świat.
TWA lampa w watykańskiej celi —
Latarnia, świeci długo w północ i za północ,
Kolebie się po wodach wiośląną oskrzelą
Ucieczka dla tonących — TWE rybackie czółno.

O, zabierz w nie!
Upraszasz o Łaskę przytwierdzeń
By wyrwać oglądane spod zmęczonych powiek,
Odmodlić, zaprowadzić w kręgi Miłosierdzia — —

TY jeden masz to prawo.
— Panie, żem — człowiek,
Więc mocą, którą dałeś...
Ciężar wątłe ciało
Przygarbia co raz bardziej tonażami smutków,
A Duch się rozpłomienia i ogniste strzały
Lecą na naszych oczach w nieśmiertelne Jutra.

— — — — — — — —

Otoś —
Świadectwo Prawdy. Nauka. I Rozkaz.
Pamięć dziecięcej wiary, najgorętszej łzy.
Naj-ojcowskiej przestrogi, naj-matczynej troski.

Tam w górze —
TU ES PETRUS — —
Tu ziemia. I my.

JERZY DOŁĘGA-KOWALEWSKI

Z DZIAŁALNOŚCI „VERITASU"

ZJAZD W SZWAJCARII

PO ZESZŁOROCZNYM Zjeździe katolickim Polaków w Szwajcarii, który odbył się w Zielone Święta we Fryburgu Szw., w obecności J. E. ks. biskupa Gawliny, przybyłego umyślnie w tym celu z Rzymu, zorganizowany został w roku bieżącym Zjazd Veritasowców szwajcarskich, również w Zielone Święta i znowu we Fryburgu, lecz z natury rzeczy przy mniejszym niż w roku ubiegłym udziale uczestników.

Jak już doniosło ŻYCIE w jednym ze swych ostatnich numerów, istnieją w Szwajcarii trzy Koła „Veritasu", najstarsze we Fryburgu, dwa młodsze w Genewie i Zurychu; wszystkie złączone w jeden Okręg z siedzibą we Fryburgu. Inicjatorem Zjazdu tegorocznego był o. prof. Bocheński, niestrudzony asystent kościelny przy wszystkich Kołach. Przygotowawczymi pracami do Zjazdu zajął się Zarząd Okręgu, ustalając przede wszystkim jego program i organizując potrzebną dla przyjęcia gości akcję.

Program przewidywał otwarcie Zjazdu, w wilię Zielonych Świąt, w ramach pierwszego posiedzenia, w gmachu uniwersytetu. Otwarcia dokonał prezes Zarządu Okręgu, prof. Alfons Bronarski, który w okolicznościowym przemówieniu przywitał zebranych w liczbie około 40 osób, określił cel obrad i odczytał pismo Zarządu Centralnego przesłane z okazji Zjazdu. Dokonano następnie wyboru przewodniczącego w osobie p. Pawła Mierzwy, członka-założyciela „Veritasu" szwajcarskiego, pierwszego prezesa Koła fryburskiego; zastępcy przewodniczącego, którym został p. Konstanty Górski z Koła genewskiego i sekretarki p. Teresy Tymienieckiej.

Punkt centralny pierwszego posiedzenia stanowił referat dra Z. Estreichera, asystenta uniwersytetu w Neuchâtelu pt. „Cele, osiągnięcia i program działalności na przyszłość PKSU „Veritas" w Szwajcarii". Prelegent zyskał sobie odrazu sympatię słuchaczy świetną formą swego referatu, wygłoszonego ze swadą i dużym temperamentem. Referent poruszył wiele ciekawych problemów i choć czasem wychodził może poza ramy statutem nakreślone, niemniej przyczynił się do żywej wymiany myśli, jaka nastąpiła w ciągu dyskusji. Zdaniem prelegenta, zadaniem Veritasowców jest przede wszystkim szukać i szerzyć prawdę w oparciu o życie nadprzyrodzone, „działać w zgodzie z Prawdą Bożą", w swoim zawodzie, „kuć broń intelektualną do użytku Kościoła", „być twórczym intelektualistą w swojej dziedzinie". W tak określonym programie działalności widzi dr Estreicher główne zadanie Veritasowców, przestrzegając przed zbaczaniem na tereny innych organizacji katolickich, przed „zeświecczeniem" ale i przed „zdewotyzowaniem".

Dyskusja obracała się dokoła trzech zasadniczych punktów, wyszczególnionych przez referenta: uświęcenie, oświecenie i ożywienie członków w ich akcji, przy czym okazała się pewna rozbieżność zdań co do ustosunkowania się do tych zasad w praktyce. Sprowadził dyskujsję na właściwe tory o. prof. Bocheński, wykazując konieczność pogłębiania znajomości prawd wiary i życia duchowego, w celu położenia podwalin, na których dopiero życie nasze zawodowe oprzeć możemy, w myśl zasadniczych założeń „Veritasu". Do wyświetlenia niektórych kwestii i wątpliwości przyczyniły się też ciekawe uwagi p. Mieczysława Habichta, naocznego świadka powstania i członka założyciela londyńskiego „Veritasu", który, na podstawie wspomnień i doświadczeń zebranych w tym czasie, wyjaśnił genezę i atmosferę duchową, w jakiej organizacja ta wzięła swój początek.

Następne posiedzenie, które odbyło się w pierwszy dzień Zielonych Świąt, poprzedziła Msza św. odprawiona w kaplicy uniwersyteckiej przez o. prof. Bocheńskiego. W czasie nabożeństwa celebrans wygłosił kazanie o Duchu Św., źródle Miłości i przyjaźni Bożej, a uczestnicy Zjazdu przystąpili do wspólnej Komunii św. W centrum obrad znajdował się referat dra Tadeusza Starka, wiceprezesa Koła genewskiego, pt. „60-ta rocznica „Rerum Novarum" i aktualność tej Encykliki". Prelegent, zwróciwszy uwagę na datę powstania Encykliki, której sześćdziesiąta rocznica schodzi się niemal dokładnie z datą Zjazdu, jako też na fakt, że właśnie we Fryburgu pracowała „Union d'études des catholiques sociaux" z kardynałem Mermillod na czele, z którą Leon XIII, przygotowując Encyklikę, w ścisłym pozostawał kontakcie, streścił najważniejsze tezy papieskie, dotyczące kwestii socjalnej, tezy uzupełnione następnie orzeczeniami innych Papieży. Dr Stark wykazał niesłuszność zarzutu, że Encyklika pojawiła się w terminie spóźnionym, czemu przeczy fakt poprzedzenia jej enuncjacjami innych Papieży i samego Leona XIII. W referacie swym uwzględnił prelegent nie tylko głos Kościoła w oświadczeniach swych Najwyższych Zwierzchników, lecz także poglądy zagranicznych teoretyków kwestii socjalnej, przede wszystkim angielskich, zestawiając je z wypowiedziami wielkiego Papieża, które przyszłość miała w pełni potwierdzić. Wystarczy przypomnieć wypadki, których jesteśmy świadkami. Odczyt wywołał żywą dyskusję, tym bardziej, że jeden z członków Koła fryburskiego, mgr Dżoga, podjął się roli koreferenta.

Z dwudniowych obrad wyłonił się szereg wniosków. Jeden z nich stwierdza celowość stworzonego Okręgu i życzenia coraz ściślejszej współpracy z Zarządem Centralnym za pośrednictwem Zarządu Okręgu. Drugi dotyczy organizacji biblioteki okrężnej do użytku członków wszystkich Kół, a co za tym idzie stworzenie urzędu bibliotekarza, którego wyboru zaraz dokonano. Biblioteka ta ma na celu danie możności Veritasowcom uzupełniania wykształcenia religijnego własnymi siłami i stanie się łącznikiem między członkami rozproszonymi po całej Szwajcarii. Inny jeszcze wniosek dotyczy potrzeby opracowania tekstu modlitwy, będącej wyrazem wspólnych dążeń i ideałów Veritasowców, i duchowym łącznikiem między wszystkimi ich skupieniami. Omawiano też sprawę niezbędnego dla zespolenia Kół z Centralą łącznika prasowego, który by pozwolił na żywszą wymianę myśli, wobec tego, że dotychczasowy kontakt pod tym względem był niewystarczający.

Na zakończenie obrad uchwalono wysłanie depeszy do J. E. ks. Nuncjusza Bernardiniego w Bernie z podziękowaniem za Jego życzliwość dla naszej organizacji, oraz pisma dziękczynnego i hołdowniczego do J. E. ks. biskupa Gawliny w Rzymie.

Zjazd odbył się w atmosferze jak najlepszej, dowiódł żywotności „Veritasu" na terenie Szwajcarii, mimo wielkich trudności, z którymi musi on walczyć, przyczynił się do zjednoczenia wszystkich trzech Kół stanowiących jeden Okręg, wzmocnił i pokrzepił na duchu uczestników Zjazdu — w tę nową rocznicę święta Zesłania Ducha Św. Postanowiono też podobny zjazd odbyć w roku następnym.

A. B.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

DROGA DO DAMASZKU

WYZNANIA KONWERTYTÓW

NIEWIELE jest rzeczy równie trudnych jak opisanie swojego nawrócenia. Można podać swoje rozumowanie prowadzące do wniosków zbliżających człowieka do religii lub potwierdzających prawdy Objawienia, wszystko to są jednak tylko owe „preambula fidei". Istota nawrócenia polega na przeszywającym promieniu łaski, która wdziera się w duszę i nie da się opisać słowami. Jest to doświadczenie rzeczywiste, tym niemniej doświadczenie z innego „wymiaru". Można o nim dać wyobrażenie ale nie można go opisać językiem naszych pojęć ziemskich.

Łaska ofiary czasem uderza z siłą miażdżącą. Szaweł został nią porażony w tym stopniu, że spadł z konia i oślepł. Został on porażony znienacka, w drodze do Damaszku, na którą wjechał w zupełnie innych zamiarach niż szukanie Boga. Bóg jego znalazł. Stąd nawrócenie Szawła pozostaje wzorem najjaskrawszym, niejako symbolem nawrócenia. Takie nawrócenia są jednak rzadkie, wyjątkowe. Najczęściej na łaskę wiary trzeba zapracować, trzeba szukać aż się znajdzie, dobijać się aż otworzą. Najczęściej nawróconemu trudno nawet powiedzieć, w którym momencie nastąpiło właściwe nawrócenie a jeszcze trudniej odpowiedzieć dlaczego się nawrócił. Element łaski jest wspólny wszystkim nawróceniom, okoliczności nawrócenia są u każdego człowieka inne, droga rozumowania u każdego odmienna.

To podobieństwo i tę różnorodność zarazem ilustruje świetnie niezwykle interesująca książka, wydana w Ameryce a następnie w Anglii „The Road to Damascus". Drugi jej tom ukazał się z początkiem tego roku na półkach księgarskich. Jest to wydany pod redakcją J. A. O'Brien'a zbiór wyznań kilkudziesięciu intelektualistów, którzy nawrócili się w wieku dojrzałym, wszystko ludzi żyjących i przeważnie Anglosasów. O ile mnie pamięć nie myli jedynie Raissa Umancow, żona znakomitego filozofa Jakuba Maritain, reprezentuje tu kraje nie anglosaskie.

Większość znaczna autorów wyznań to Amerykanie, przeważnie Amerykanie poniżej czterdziestki, przeważnie nawróceni między pierwszą a drugą wojną światową. Kilku spośród nich to byli komuniści, kilku wychowanych w ateizmie, troje Żydów, kilkunastu protestantów. Z zawodu przeważnie pisarze (poeci, powieściopisarze, publicyści) lub naukowcy (fizycy, lekarze, przyrodnicy, historycy, filolodzy). Bardzo wielu czynnych społecznie a nawet politycznie. Niektóre kariery życiowe niezwykłe. Na przykład dwóch trapistów: jeden Żyd z urodzenia, materialista z wychowania, znakomitość wśród niemieckich psychiatrów, przez potrzebę filozofii doszedł do katolicyzmu a poznanie nauki Kościoła zaprowadziło go do ściśle kontemplacyjnego zakonu; drugi, syn Nowozelandczyka i Amerykanki, wychowany we Francji i w Anglii, nieprzeciętny poeta, od protestantyzmu odbył drogę poprzez komunizm do tomizmu i znalazł przystań w celi trapisty. Jest i była komunistka, która nawróciła się przez miłość do swego małego dziecka i nie wahała się zerwać szczęśliwego pożycia z ojcem tego dziecka, ponieważ nie mogła zawrzeć z nim małżeństwa katolickiego.

Dla mnie osobiście jedno z najbardziej interesujących jest przeżycie wybitnego historyka młodszej generacji amerykańskiej, Hofmanna. Jakiś znajomy katolik poradził mu: „Jesteś historykiem, przeczytaj Ewangelie jako dokument historyczny. Postaraj się usunąć przedtem z pomięci wszystko, co słyszałeś o dziejach Nowego Testamentu, i czytaj krytycznie i naukowo." Hoffmann, agnostyk, pochodzący z rodziny protestanckiej, zastosował się do tej rady. W miarę jak czytał, poczuł, że z każdą chwilą jest coraz bardziej solidarny z faryzeuszami: człowiek, o którym czytał nie był łagodnym reformatorem; bliższa analiza wykazała, że nie mógł być obłąkany; mówił rzeczy, które jeżyły włos na głowie zarówno faryzeuszy jak i agnostyka Hoffmanna, które były bluźnierstwem i wyzwaniem dla niego. Wewnętrzne wzburzenie skłoniło młodego profesora do zbadania wszelkich możliwości wyjaśnienia tej postaci i żadna jej nie wyjaśniała. Aż pozostało tylko jedno wyjaśnienie i przed nim stanął Hoffmann z uczuciem przerażenia. Jedyną hipotezą, którą można było tę postać niewątpliwie historyczną wytłumaczyć było, że twierdzenie jej, że jest Bogiem, jest prawdziwe.

To przeżycie amerykańskiego historyka ma wiele wspólnego z pawłową drogą do Damaszku, Szaweł był przekonanym faryzeuszem, niewątpliwie szczerym faryzeuszem, a jeżeli prześladował uczniów Chrystusa, to dlatego, że ich twierdzenia były ścinającym w żyłach krew bluźnierstwem a nie dawały się odparować logicznie.

Kilkadziesiąt dróg do Damaszku zebranych w dwa tomy przez O'Briena, zaczyna się w najrozmaitszych punktach. Punktem wyjścia na przykład pewnej dziennikarki, materialistki, były doświadczenia z frontu. Nie mogła wytłumaczyć sobie zachowania żołnierzy amerykańskich w obliczu śmierci. W ramach dostępnych jej pojęć nie było rozumowego wytłumaczenia dla ich postępowania w pewnych sytuacjach. Uczciwie szukając wyjaśnienia, trafiła na Boga. Dla dwóch duchownych anglikańskich punktem wyjścia było związanie własnymi słowami, którymi nauczali wiernych. Punktem wyjścia murzyńskiej baptystki był urok liturgii katolickiej.

A. R. Dulles, obecnie jezuita, wychowany w protestantyzmie, z wykształcenia filozof, w czasie wojny marynarz na ścigaczu łodzi podwodnych, tak kończy swoje opowiadanie: „Niezależność i życie! — Taki był okrzyk syna marnotrawnego w przypowieści ewangelicznej; takie też było hasło, pod którym żyłem jeszcze niewiele lat temu; takie przez kilka wieków było hasło człowieka zachodniego. Niewola i nędza! — Takie było żniwo zebrane przez marnotrawnego syna, takie żniwo i ja zebrałem. Takie też jest żniwo, które zbiera świat wśród tyranii i wojen naszych czasów. „Powrócę do domu ojca!" Takie było postanowienie powzięte przez syna marnotrawnego i takie postanowienie ja powziąłem. Chciałbym, żeby cały świat mógł dzielić moją radość z powrotu do domu".

Wydanie książki, zestawiającej opis własnego nawrócenia przez kilkudziesięciu intelektualistów z dwóch właściwie tylko krajów, niekatolickich w swej większości, nie byłoby możliwe w poprzednim pokoleniu. Wielka fala nawróceń nie tylko zmienia oblicze intelektualne świata zachodniego, a raczej zmieni je w następnym pokoleniu, gdy ci współcześni wywrą w pełni swój wpływ, ale także zmienia atmosferę. Ludzie z dumą i głośno mówią o swoim przejściu na łono Kościoła, o swoim znalezieniu nowego życia, o swoim kapłaństwie.

Jeden z zakonników, opisując walory ale i ciężary życia zakonnego stwierdza, że poszedł tą drogą, ponieważ była ona łatwiejsza od życia świeckiego, najtrudniejsze jest bowiem pozostać w świecie a jednocześnie prowadzić życie duchowe tak intensywne, by nim prześwietlać tamto. Powołanie świeckie bywa trudniejsze od duchownego.

Przeżycia opisane w „Drodze do Damaszku" można z grubsza podzielić na dwie kategorie: nawrócenia z protestantyzmu i nawrócenia z ateizmu. Te pierwsze, w książce liczniejsze, są dla czytelnika polskiego mniej interesujące. Są to nawrócenia ludzi wierzących, którzy w Kościele Powszechnym znaleźli to, czego darmo szukali w zborach. Ciekawsze i dla naszej epoki bardziej znamienne są nawrócenia ludzi niewierzących. Prawie każdy z nich ma jakiś dalszy „background" religijny. Rodzina jego albo on sam odeszli od protestantyzmu, judaizmu czy katolicyzmu. I dla nich więc nawrócenie jest dosłownie nawróceniem, to znaczy powrotem, co prawda nieraz powrotem z bardzo daleka. Jeden np. działacz robotniczy katolicki, a niegdyś komunistyczny, doszedł do Kościoła przez powrót do mozaizmu i stwierdzenie, że Kościół katolicki jest jedynym wypełnieniem religii mojżeszowej a judaizm od czasu zburzenia świątyni stał się pustą skorupą.

Czego ta książka nie daje natomiast, czego nam bardzo brakuje, to opisu nawrócenia jakiegoś intelektualisty, wychowanego od urodzenia w całkowicie ateistycznym środowisku, w rodzinie bezbożniczej, w państwie bezbożniczym. Jak taki człowiek trafia do Boga, albo raczej jak Bóg trafia do takiego człowieka? Nie zdarzyło mi się dotąd czytać takiego wyznania, a wiem, że są wypadki takich nawróceń. Czytałem kiedyś obszerne wspomnienia konfuncjonisty, ministra chińskiego, który został w końcu opatem benedyktyńskim. Nie czytałem wspomnień człowieka, który byłby wychowany w cywilizacji ateistycznej. Prawda, że cywilizacja ta jest młoda i że nie pozwala człowiekowi zajmować się swoim wnętrzem. Postawa intelektualna wychowanych w niej ludzi nie różni się zapewne od postawy opisanej dość dokładnie przez jednego z autorów wspomnień. Mimo, że nie był on komunistą, lecz zwykłym młodym amerykańskim agnostykiem, jego pojęcia o wszechświecie, ziemi, człowieku, moralności, Bogu, Chrystusie, cudach — zdają się być żywcem wyjęte z Encyklopedii Sowieckiej. Nic zresztą dziwnego. To są te same poglądy. Nie ma filozofii komunistycznej, jest tylko filozofia pozytywistyczna i komunistyczne z niej wnioski. Natomiast odmienna zupełnie musi być „atmosfera" myślowa tych ludzi.

Wyrażony powyżej żal za to, czego nie ma w książce, jest oczywiście niesłuszny, gdyby go brać dosłownie. Ta książka mówi o nawróceniach w świecie cywilizacji anglosaskiej a przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych. Zjawisko tych nawróceń jest stosunkowo świeże. Ameryka wciąż jeszcze jest krajem dużej demoralizacji młodzieży, ale od okresu lat dwudziestych, tak wstrząsająco opisanych w wielkim reportażu Coopera o „Dziwnej młodzieży Ameryki", zaszły tam wielkie zmiany, z których katolicy europejscy na ogół nie zdają sobie sprawy. Przeciwny prąd jest coraz silniejszy. Demoralizacja zaczęła się po pierwszej wojnie światowej od młodych intelektualistów, remoralizacja zaczęła się również od młodych intelektualistów w przededniu niemal drugiej wojny światowej. Ta remoralizacja jest katolicka. Jest to zjawisko o znaczeniu historycznym.

Kilkadziesiąt opowiadań zebranych z różnych źródeł przez O'Briena rzuca światło na ten proces, chwyta go niejako na gorąco. Przypuszczam, że za następne dwa lata mógłby on wydać trzeci tom z szeregiem nowych nawróceń.

Ostatnia wypowiedź w drugim, świeżo w Anglii wydanym tomie „The Road to Damascus" jest nie tylko wspomnieniem ile wyjątkowo pięknym w swojej prostocie wykładem mistycznym poety i teologa, o. Ludwika, trapisty, (w świecie —Tomasza Mertona). Niech początek tej wypowiedzi zamknie niniejszą recenzję:

„W Apokalipsie św. Jan wkłada te słowa w usta Boga: „Zwycięzcy dam mannę ukrytą i dam mu kamyk biały, a na kamyku napisane imię nowe, którego nie zna nikt, jeno ten, co je otrzymuje". Kamyk w tym zdaniu oznacza szton, jaki mógł być dawany w grze losowej. Każdy w tej grze identyfikowany był przez swój szton czyli kamyk.

Tak właśnie jest z naszym życiem w oczach Boga. Nadprzyrodzone przeznaczenie wybranego jest ukryte w ręku Boga. Nasze powołanie do wiary i do szczególnej, indywidualnej roli, jaką każdy z nas ma odegrać w życiu Kościoła, jest tajemnym darem Boga. Nasza nadprzyrodzona tożsamość jest ukryta w białym kamyku w dłoni Boga. Jeśli jej chcemy, musimy sięgnąć i wziąć ją z Jego ręki.

Jeśli jej nie przyjmiemy, nigdy nie poznamy naszego prawdziwego imienia. Nigdy nie dowiemy się, czym mieliśmy być. Spadniemy w beznadziejną i wiecznotrwałą próżnię zaludnioną przez wszystkie zaginione osoby, które nigdy nie dowiedziały się, że rzeczywiście miały imię i charakter i tożsamość zastrzeżone dla siebie w niebie, że były przeznaczone do życia nie do śmierci, gdyby tylko wiedziały jak sięgnąć po swój kamyk i zdobyć się na wysiłek rozpoczęcia życia."

Wojciech Wasiutyński

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Nowy biskup częstochowski. Sekretariat Prymasa Polski podał do wiadomości, że Ojciec św. zamianował biskupem częstochowskim ks. bpa Zdzisława Golińskiego, dotychczasowego bpa sufragana lubelskiego.

Ks. arcybiskup Eugeniusz Baziak, którego Annuario Pontificio zawsze wymienia jako arcybiskupa-metropolitę lwowskiego obrz. łac. z siedzibą w Lubaczowie, pełni obecnie przy ks. kard. Sapieże obowiązki koadiutora, oczywiście sine iure successionis.

Zdrowie kard. Sapiehy. Wiadomości, które nadeszły z Krakowa, mówią o przedłużającej się chorobie Kardynała. Wobec istniejącej obawy komplikacji, lekarze zalecają absolutny spokój. Nie mogąc przybyć na uroczystość beatyfikacji Piusa X, jak to było jego gorącym życzeniem, kardynał Sapieha przesłał na ręce Ojca św. następujący telegram: „Mimo mojej ciężkiej niemocy, całym cercem i duszą biorę udział w uroczystej Beatyfikacji najczcigodniejszego Piusa X, któremu służyłem osobiście przez sześć lat i z którego rąk otrzymałem pełnię kapłaństwa. — Kardynał Sapieha."

Zmarł kardynał Dougherty. 31 maja zmarł kardynał Dennis Dougherty, arcybiskup Filadelfii, w wieku lat 85. Z jego śmiercią liczba kardynałów spada do 51, a w Ameryce pozostaje tylko 3 kardynałów: kard. Strich, kard. Mooney i kard. Spellman.

Brak 58 biskupów. Niemiecki tygodnik katolicki „Petrusblatt" podaje, że w Europie wschodniej 58 biskupstw jest nieobsadzonych, głównie z powodu deportacji i aresztowań. Liczba ofiar prześladowania duchowieństwa przez komunistów jest ogromna, ale wymieniana czasem cyfra 11 tysięcy księży jest zapewne przesadzona.

Konsystorz Papieski. W dniu 4 czerwca odbył się Konsystorz tajny papieski, podczas którego zebrani kardynałowie i biskupi oddali swoje votum w sprawie najbliższych kanonizacyj.

Pierwszy ambasador Filipin. W dniu 4 czerwca złożył Ojcu św. listy uwierzytelniające pierwszy ambasador Republiki Filipińskiej przy Watykanie, Emanuel Moran.

Katolicyzm w Stanach Zjedn. Z nowego wydania „Catholic Directory" na Stany Zjednoczone, Alaskę i Wyspy Hawajskie dowiadujemy się, że w ostatnich 10 latach na tych obszarach konwertytów było 1.006.247. Ogólna liczba katolików wynosi 28.634.878.

Kościół katolicki w Stanach posiada 11.767 różnych instytucyj wychowawczych, wśród nich 72 seminaria diecezjalne, 320 seminariów i nowicjatów zakonnych, 236 uniwersytetów i kolegiów, 1.628 szkół średnich oraz 8.202 szkoły powszechne. W szkołach tych wychowuje się bez mała 5 milionów młodzieży. Poza tym w Stanach jest 759 szpitali katolickich, prowadzonych przez braci i siostry zakonne. Szpitale te leczyły w roku ubiegłym prawie 5 milionów pacjentów.

Kościół katolicki w Stanach wykazuje wielką prężność organizacyjną. Każda parafia posiada różne organizacje religijne i społeczne, oraz młodzieżowe. Doskonale zorganizowane programy radiowe i tygodniowa prasa katolicka jak również misje wewnętrzne są źródłem nawróceń protestantów na wiarę katolicką i przyczyniają się do szybkiego rozwoju Kościoła w Stanach Zjednoczonych.

Życzenia Prezydenta RP i Rządu w dniu św. Eugeniusza. W dniu imienin Ojca św. Ambasador RP przy Stolicy Apostolskiej wysłał na ręce substytuta Sekretariatu Stanu Jego Świętobliwości, Msgra. Montini telegram z życzeniami imieninowymi Prezydenta i Rządu RP dla Ojca św. Msgr. Montini odpowiedział telegramem, wyrażającym ojcowską wdzięczność Papieża.

Zrozumienie postawy Episkopatu w Polsce. Emigracja polska zdaje sobie sprawę z niezwykle trudnego położenia Kościoła w Polsce. Jest daleka od lekkomyślnego krytykowania oświadczeń, do jakich są czasem zmuszani przedstawiciele duchowieństwa lub prasy katolickiej. Emigracja rozumie, że Kościół nie może pragnąć zaostrzania konfliktu. To stanowisko emigracji znalazło wyraz m. in. w oświadczeniu ministra spraw wewnętrznych, J. Hryniewskiego, który powiedział na zebraniu Rady Narodowej:

„Kolejne osłabienia i natężenia w zwalczaniu religii i Kościoła z punktu widzenia reżymu mają wyraźnie taktyczny charakter. Kościół jest dziś jedyną organizacją polską na miejscu w Kraju i w tym stanie rzeczy ciężar odpowiedzialności, dźwigany przez Hierarchię polską, jest olbrzymi. Toteż całkowicie zrozumiałą jest postawa Episkopatu, unikającego bardzo stanowczo wszelkiego wciągania Kościoła w obcą mu dziedzinę, dziedzinę polityki. Kościół wytęża obecnie swe siły w kierunku rozwinięcia życia duchowego wśród Polaków i opiera się w tej akcji o zupełną jednomyślność narodu."

(CHIP)

PRĄDY, LUDZIE, KSIĄŻKI

PRZYJACIEL

DO najsympatyczniejszych znamion, a może i złudzeń, młodości „chmurnej i górnej" należy, obok „pierwszej miłości", poszukiwanie „prawdziwej przyjaźni" w życiu. Nasz przyjaciel powstaje wówczas z wybrednego, młodzieńczo krytycznego wyboru, a kształtuje go w pierwszym rzędzie urzekająca, swoista mitologia „intelektu" i bezgraniczny wprost szacunek dla „głębokiej kultury umysłowej". Po idealnym przyjacielu oczekujemy więc przede wszystkim niepospolitych zalet mózgu. Nie oczekujemy bynajmniej stałości i wierności w przyjaźni, ani szarych codziennych świadczeń na rzecz jej zachowania. Nasz przyjaciel powinien być „erudytą", ale co bardziej pociągające — zręcznym, efektownym dialektykiem, takim, który by używał w dyskusji (jakaż by to była przyjaźń bez radości dyskutowania!) „argumentów nie do odparcia". Musi nam imponować nie siłą mięśni, nie odwagą na polu bitwy, nie gorącym sercem, ale wygimnastykowanym umysłem. Powinien odznaczać się „odkrywczością i świeżością" przy ferowaniu ocen. Ma prawo, a nawet obowiązek, grzeszyć sporą porcją cynizmu. W kołczanie swego „ostrego intelektu" winien nosić zatrute strzały zabójczo złośliwego dowcipu, ironii i sarkazmu. Wówczas oddajemy mu swoje młode, zachwycone serce.

W „wieku męskim, wieku klęski", razem z nami, zmienia się również nasza koncepcja przyjaciela. Zmieniają go nasze doświadczenia. Wyłaniają się inne wymagania, na zawiedzionym najczęściej oparte uczuciu. Tyle gorzkich rozczarowań i rozwianych złudzeń nagromadziło się na przebytych drogach! Na przykład ów mistrz naszej młodości, przyjaciel najprawdziwszy, człowiek o uczulonym, wnikliwym, niezawodnie pracującym umyśle, w dniach próby i pokusy okazał się małym, łakomym znaczenia i kariery oportunistą. Albo uciekł od odpowiedzialności w zaułek rzekomo rozgrzeszającej go relatywności wszystkich spraw i urządzeń ludzkich. Albo łasił się jak zwierzątko przed miską soczewicy i zasłaniał się argumentem, że moralność jest wytworem określonych warunków, na które on, samotny i z natury słaby, nie ma najmniejszego wpływu. Albo zaparł się wszystkiego, co głosił, zasłaniając swój brak charakteru nowym argumentem: głupotą tych, którzy nie zdradzili. Wszystkie barwy tego bajecznie kolorowego intelektu zbladły w naszych oczach. Co więcej, spostrzegamy nie bez żalu, że już od dawna nie wystarczy nam samo zafascynowanie zaletami ludzkiego umysłu. I choćby to brzmiało jak kapitulacja i obniżenie kryteriów wyboru, wolimy od tej pory, by nasi przyjaciele przede wszystkim byli „dobrymi" i „porządnymi" ludźmi w najbardziej potocznym tego słowa znaczeniu.

Nieufność wobec „intelektualistów", „pięknoduchów", „mistrzów paradoksu i aforyzmu", „wnikliwych analityków", „głębokich i wspaniałych umysłów o rozległych horyzontach" posiada swoje uzasadnienie. Zbyt wiele cennych wartości ludzkich padło ofiarą „mądrości" człowieka myślącego. Zbyt wiele aprobaty i rozgrzeszenia udzielano siłom zła i przemocy w imię świetnych, wspaniale skonstruowanych programów i systemów. Kto to czynił? Gdzie to knował? Czy nie w akademiach nauk, które wydawały się nam za młodu przybytkiem najświętszym, czy nie w sztukach pięknych, w dziełach naukowych, rozprawach, wysokich komisjach rzeczoznawców, w kręgu najwytrawniejszych mózgów? Nic dziwnego, że nasz przyjaciel, niegdyś żarliwie dyskutujący na seminariach z Kartezjuszem w ręku, wydaje się nam po latach figurą zasmucająco żałosną i jakby karykaturą całej naszej, przedziwnie naiwnej i łatwowiernej młodości.

Natomiast przyjaźń, zawierana w wieku męskim, o ile jeszcze odczuwamy jej potrzebę, szuka już innych wartości. Na gruzach dawnych wyobrażeń o życiu i ludziach, wśród bujnego rozkwitu nauk i pozornych triumfów wiedzy, przestaje nam imponować człowiek wszystko wiedzący i bardzo umiejętny, jeżeli poza tym żadnych innych nie posiada walorów. Tęsknimy coraz bardziej do przyjaźni „dobrego" i „porządnego" człowieka, do tylekroć lekkomyślnie wyszydzanej „jasnej duszy" i wykpiwanego „prawego charakteru". A w tej tęsknocie wyraża się symptom czasu i potrzeba zawiedzionego serca.

* * *

Gdy biorę do ręki tomik wierszy zmarłego Kolegi, tomik położony przez Ośrodek Wydawniczy „Veritas" na mogile Anatola Krakowieckiego jak garść niezapominajek, ogarnia mnie zaduma nad ludzką przyjaźnią i nad piękną postacią autora głośnej „Książki o Kołymie". Krakowiecki, twórca utalentowany, był nawskroś dobrym i skromnym człowiekiem, całkowicie bezpretensjonalnym, zarówno w życiu, jak i w tym, co pisał. Kiedy przyglądam mu się w zwierciadle jego prozy o Rosji i jego szczerych, prostych, nieraz kalekich wierszy, wydrukowanych w zbiorku „Na latającym dywanie"*), przypomina mi się, że ten szlachetny i prawy człowiek nigdy o nikim źle nie mówił, nie pisał, a na pewno i nie myślał. Jest to cecha niezmiernie rzadko spotykana u naszych rodaków, a zwłaszcza wśród ludzi pióra. Zawsze uśmiechnięty Krakowiecki nie czynił tego w imię układności towarzyskiej, która zabrania obmowy, ale po prostu ze zwykłej organicznej niezdolności do zawiści, zazdrości czy sprawiania komuś najlżejszej krzywdy. Jeśli rację ma poeta, mówiąc że trudniej dzień przeżyć, niż napisać księgę, ten na pół literat i na pół dziennikarz na bardzo serdeczne zasługuje słowa. Kiedyś był u pewnego wydawcy i próbował go zainteresować swoim manuskryptem o Kołymie, który nosił przy sobie jak wyłowioną z morza pocztę w butelce. I chociaż spotkała go tam nieprzyjemna przygoda (wyproszono go za drzwi), opowiadał o tym bez cienia goryczy czy złości. A nawet bez zdziwienia. Jak by się nic nie stało. Uśmiechał się tylko niepewnie, najprawdopodobniej zażenowany kłopotem, jaki sprawił swoją osobą zapracowanemu wydawcy. Oglądałem Krakowieckiego w szpitalu dla nerwowo chorych ofiar wojny, gdzie pielęgnował pacjentów, wymyślając dla nich odczyty i rozrywki. Chodził wśród chorych dobrotliwie i przyjaźnie uśmiechnięty, gładził ich w czasie rozmowy po rękawie, serdecznie poklepywał po ramieniu. Z troskliwością ogrodnika przyglądał się im, jak zwarzonym przez mróz roślinom. Nie waham się twierdzić, że ich kochał. Tak samo, jak kochał swoich towarzyszy niedoli na dalekiej Kołymie. Opowiadał mi z cierpieniem na twarzy o tym, jak jakiś pacjent-chorąży, nie mogąc znieść myśli, że Krakowiecki — nie oficer, ale też „tylko chorąży", piastuje urząd organizatora imprez kulturalnych w szpitalu, potrącał go przy każdej okazji. Zacny Anatol gryzł się, że swoją osobą niepokoi nieszczęśliwego zawistnika, niczym owego londyńskiego wydawcę. „Gdybym mu pokazał dokument, że jestem porucznikiem, — mówił — oddałbym mu dużą przysługę, ale Bóg mi świadkiem, — wzdychał strapiony, — że nim nie jestem i pewno już nigdy nie będę." To drobne (ale nie dla niego) zmartwienie bodaj najlepiej charakteryzuje Krakowieckiego. Robił notatki o pacjentach. Chciał o nich napisać powieść. Nie zdążył.

Słusznie pisze Jan Bielatowicz w przedmowie do wierszy Krakowieckiego, że życie tego cichego miłośnika dobra i prawdy obfitowało w troski i porażki. Uśmiechnięty Anatol o siwej lwiej czuprynie i łagodnych dziecięcych oczach, znosił je bez szemrania i słowa skargi. Cała jego sybiracka gehenna pod Polarnym Kołem, chociaż podcięła mu zdrowie, nie podcięła mu skrzydeł i nie zostawiła w jego duszy osadu zgorzknienia czy nienawiści. Przeciwnie, o prześladowcach swoich mówił ze współczuciem, graniczącym z sympatią, jak prawdziwy chrześcijanin. Słońce wypełniało tego dziwnego człowieka po brzegi. W okresie rekonwalescencji układał pogodne kołysanki bagdadzkie, na jednej strunie gitary wygrywał piosenki o Dorotce, sympatycznym atramentem kreślił kolorowe obrazki o rodzinnej Skawinie.

Dobry człowiek, prawdziwy przyjaciel: Na latającym dywanie tęsknoty podkrakowski „złodziej wspomnień" z Bagdadu, promienny, przyjazny dla otoczenia, wzdychał ukradkiem:

„I tylko Boga proszę, by ścieżkę
moją sprostować raczył i — u jej
końca dwa polskie zasadził dęby."

Kochał swoje strony rodzinne i do napisania wiersza o Woli Radziszowskiej, Izdebniku, Radziszowie, Krzywaczce czy Skawinie siadał z rozmachem, jak do fortepianu. Wydobywał ze swej lutni tony swojskie, jak w przyśpiewce do tańca:

„Nic tak nigdzie nie smakuje,
jak w Krzywaczce zalecanki,
bo piękniejszych nie ma dziewcząt,
niż Ciepieli Ciepielanki."

Nie jest to poezja pisana przez duże „P", chociaż jej twórca serce miał poety i uprawiając w życiu różne zawody, a wśród nich dziennikarski najdłużej, do mowy wiązanej szczególne posiadał zamiłowanie. Musiał być kiedyś zawołanym tancerzem i pierwszym w swoich stronach wodzirejem. Nawet tutaj, w Anglii, dla swoich pacjentów urządzał od czasu do czasu zabawy z kotylionami, na które spraszał chętnych i niechętnych własnoręcznie malowanym afiszem. A gdy w świetlicy, obramowanej w zieleń hrabstwa Kentu, krąg smutku i szpitalnej jednostajności pryskał pod urokiem kujawiaków i oberków, nasz Anatol potrząsał w takt muzyki siwą grzywą i ogarniał salę ciepłym, czułym spojrzeniem.

Takiego go widzę — Sybiraka o gorącym sercu, uśmiechniętego, serdecznego, dla wszystkich życzliwego, z kieszeniami wypchanymi wierszami i korektą swojej ponad wszystko umiłowanej książki o Kołymie.

I takiego zachowamy go w pamięci — brata-łatę, pogodnego obieżyświata, prowincjonalnego cygana spod Krakowa, druha-emigranta, dobrego i porządnego człowieka, Przyjaciela, który pisał wiersze i kochał ludzi.

Tadeusz Nowakowski

***) Anatol Krakowiecki NA LATAJĄCYM DYWANIE. Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas". Londyn, 1951. Str. 46. Cena 3/-.**

LISTY DO REDAKCJI

O KSIĄŻKĘ GIERTYCHA

Szanowny Panie Redaktorze!

Z powodu ukazania się spóźnionego (z winy Redakcji) a przedwczesnego (z winy Autorki) artykułu o książce Giertycha w nrze ŻYCIA z 3 czerwca, pozwalam sobie zauważyć co następuje:

Artykuł zawiera nie tylko przedwczesne, ale niewczesne apostrofy pod adresem kierunku narodowego. Autorka uważa widocznie k a ż d ą okazję za dobrą do napaści na narodowców, napaści g o ł o s ł o w n y c h, żadnym konkretnym argumentem nie umotywowanych. Jednym z najsmutniejszych objawów naszego życia społecznego i politycznego jest nie to, że się zwalcza coś, co się uważa za złe i szkodliwe, przy podawaniu a r g u m e n t ó w, p o w o d ó w i f a k t ó w, jak to czyni m. in. „pisemko narodowców", bo to jest jego obowiązkiem, ale to, że sobie przygodni pisarze pozwalają na sądy i epitety bez podawania racji, lub z podawaniem nieprawdziwych.

Nie dziwię się autorce, że ze swoimi atakami wystąpiła bez żadnego związku logicznego ze sprawą książki Giertycha i to nawet supponując z góry „radosne podskoki" i „wawrzyny" na cześć autora, „choćby za ową pianę zawiści (?!), ochlapującą ludzi nie z tego obozu". Nie dziwię się, bo nawet sam ten wypadek zadał kłam jej pewności siebie, dowodząc że w ogóle nie ma wyobrażenia o poziomie rzeczy, o których wyraża swe skromne zdanie. Autorka tak gorąco bierze sobie do serca sugestie środowiska, w którym ugrzęzła, że dała upust swoim nieopanowanym uczuciom bez żadnych rzeczowych argumentów, na co pozwalano sobie za wszechwładzy sanacji i jej cenzury w Polsce, ale czego w normalnych warunkach nie czyni żaden wytrawny i szanujący się pisarz jakiegokolwiek obozu.

Nie zdaje sobie w ogóle sprawy, że walka polityczna toczy się o najważniejsze sprawy sumienia narodowego, pojęć prawnych i racji politycznych, nie rozróżnia krytyki od obelg, a zarzutów od insynuacji. W każdym razie coś, na co może sobie pozwolić demagog na wiecu obstawionym przez jego klakę, albo panie na buduarowych herbatkach, gdzie puszcza się w kurs nie argumenty, tylko nastroje, nie może być dopuszczalne w prasie i dziwię się tylko Redakcji, że chyba przez przeoczenie takim rzeczom daje miejsce. Bo można używać i najsilniejszych określeń, jeżeli się je potrafi umotywować, ale nie wolno mącić wody przez dawanie ujścia animozji i robienie okazyjnych nastrojów przeciw drugim.

Wbrew pewności autorki „pisemko narodowców" zamieściło jedynie moją nieliteracką zapowiedź ukazania się książki Giertycha, a nie zamieściło dotąd ż a d n e j recenzji. Ukazały się natomiast dwie recenzje członków Stronnictwa Narodowego, jak na złość najmniej pochlebne: moja, życzliwa, ale krytyczna i rzeczowa, we „Wiadomościach" i bardzo nieżyczliwa i mojem zdaniem niesprawiedliwa, chociaż w niejednym punkcie słuszna J. Bielatowicza w „Kulturze". Tyle f a k t ó w o obiektywizmie w obozie narodowym, wobec przedwczesnej „piany nienawiści", którą autorka raczyła go „ochlapać" z wysokości swego autorytetu. Myślę, że to jemu, ani jego „pisemku" wbrew gorącej intencji autorki, nie zaszkodzi.

Nie pomawiam autorki o brak dobrej woli, tylko o brak innych warunków, bez których w ogóle zabieranie głosu jest nieporozumieniem... Nie każdy musi rozumieć się na polityce. Ale jeżeli się kto na czym nie rozumie i nie tylko nie potrafi przytoczyć konkretnych danych formalnych na swoje ogólniki, a cóż dopiero mówić o tym, aby się orientował w tym o c o w tych rzekomych danych chodzi, to powinien wnosić w atmosferę ton szacunku i pojednania dla każdej strony i jej przekonań, tym bardziej, jeżeli ten, co pisze jest kobietą. Ponieważ zaś jest kobietą, muszę co najmniej z mojej strony wyrazić głęboki żal, że powiedziałem to, co powiedzieć musiałem.

Michał Pawlikowski

CZY POZOSTANIEMY ZA POLAKAMI W SZWECJI?

Nie posiadamy dokładnych danych co do ilości Polaków, przebywających na emigracji w Szwecji. Liczba ta wszakże nie przekracza zapewne 4 tysięcy. Toteż z podziwem i zazdrością czytamy w sztokholmskich „Wiadomościach Polskich" (z 15 czerwca 1951) na marginesie Nagrody Poetyckiej tego pisma: „Zbiórka publiczna na Nagrodę Poetycką wśród Polonii szwedzkiej dała wynik pozytywny, mimo iż pesymiści wróżyli, że literaturą mało kto się interesuje i nikt pieniędzy nie da... Ogólna suma pieniędzy zebranych wynosi 495 koron, a więc Polonia podwoiła sumę ofiarowaną przez redakcję".

Już po rozdaniu nagród okazało się, że ofiary płyną dalej, tak iż „Wiadomości", mimo iż podwoiły kwotę przyznanych nagród mają jeszcze w dyspozycji sumę około 300 koron, co da możność ufundowania na jesieni nagrody za nowelę lub reportaż.

Z całego serca winszujemy zasłużonemu pismu sukcesu kulturalnego. Nie możemy się przy tym powstrzymać od wyrażenia naszej niewesołej refleksji, iż Polacy w Wielkiej Brytanii mniej są ofiarni w dziedzinie pomocy kulturalnej. Katolickie Nagrody Literackie „Veritasu" wyniosą w roku bieżącym 200 funtów. Suma ofiar społeczeństwa emigracyjnego wynosi w tej chwili niecałe 30 funtów. Gdzie tu marzyć o podwojeniu sumy przeznaczonej przez ośrodki katolickie?

A może jednak? Lista ofiar jest nadal otwarta. Nagrody przyznane zostaną w najbliższych miesiącach. Niebawem podamy ostateczne szczegóły.

VARIA

Listy, listy... Niedawno zmarły, niewiele młodszy od 80-letniego Claudela esseista, André Suarès, długie lata korespondował z tym najsławniejszym dziś poetą katolickim Francji. Jak André Gide'a, tak Suarèsa, usiłował Claudel obudzić do wiary w Boga. Korespondencja z Gidem się urwała, korespondencja z Suarèsem trwała do śmierci tego ostatniego. Suarès był z pochodzenia Żydem, ale mówił o sobie: „Jest we mnie więcej, niż jedna rasa. I nie czuję w sobie przynależności do żadnej!" I dodawał: „Nienawidzę rasy! Rasa jest tylko tam, gdzie nie ma indywidualności." Mimo to uważał się poniekąd za... Celta. Jako krytyk zajmował miejsce raczej marginesowe, nie przywiązywano wagi do jego zdania, mimo że oceniano jego pracowitość i oczytanie. Wypowiadał się stylem sztucznym i usiłował być w swoich sądach oryginalny. Ale nie było w nim iskry twórczej, nic poza intelektualizmem, suchym rozumowaniem; nie umiał być „medium", które się poddaje hypnozie ocenianego pisarza twórczego. Pisał nie tylko o literaturze. Kiedyś napisał szkic o Chopinie. Szkic opłakanie zuchwały. Dowodził, że Chopin nie miał talentu, że w muzyce jest nicością. Ośmieszył się. Pragnąc za wszelką cenę być oryginalnym, stawał się nietaktowny. W r. 1906 pisał do Claudela: „Kiedy pan był najbardziej zapoznany i najbardziej nieznany (ignoré), liczył pan na garstkę wielbicieli, rekrutujących się z samych głupców". Mimo takich zwrotów, Paul Claudel nie przestawał korespondować z Suarèsem.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

CZY PISMO MUSI ZAWSZE MÓWIĆ PRAWDĘ?

Znany dziennikarz brytyjski Tom Hopkinson wygłosił niedawno w Home Service BBC pogadankę o pracy redaktorskiej. M. in. poruszył on zagadnienie, czy obowiązkiem redaktora jest dbać o to, by pismo jego zawsze mówiło prawdę. Zdaniem Hopkinsona, odpowiedź na to pytanie musi być zdecydowanie negatywna.

„Sam — mówił Hopkinson — zostałem redaktorem po raz pierwszy w lipcu 1940 r. Było rzeczą jasną, że nadzieja ocalenia naszego kraju zależała wówczas od zachowania w tajemnicy prawdy o naszych środkach obronnych i od przedstawiania w barwach najbardziej optymistycznych naszej zdolności do przeciwstawienia się inwazji. Nie może ulegać wątpliwości, że są okresy, kiedy redaktor musi świadomie brać na siebie odpowiedzialność za ogłaszanie pewnych rzeczy nieprawdziwych — czy nawet, jak w tamtych groźnych dniach, za wywoływanie wrażenia zdecydowanie fałszywego. Nie wolno mu jednak nigdy oszukiwać siebie samego, w czyim interesie to czyni. Jedyną uczciwą odpowiedzią winno być, że czyni to we własnym interesie społeczeństwa i że gotów jest we właściwym czasie za to odpowiadać".

Zasada wypowiedziana przez Hopkinsona, jest niewątpliwie słuszna, jeśli chodzi o czas wojny, kiedy tyle zależy od wprowadzenia w błąd nieprzyjaciela i uchronienia własnego społeczeństwa przed duchowym załamaniem się. Jest w ogóle słuszna, gdy naród znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Czyż jednak cokolwiek może usprawiedliwić stanowisko, zajęte przez wielką część prasy Zachodu wobec Polski i całej Europy środkowo-wschodniej w okresie „appeasementu" — i zajmowane często jeszcze dzisiaj?

DZIEJE SŁYNNYCH DIAMENTÓW

Dwa spośród najwspanialszych diamentów świata — jak świeżo przypomniał w audycji radiowej John Maynard — znajdują się w Anglii. Pierwszy z nich to słynny Koh-i-Noor, którego dzieje sięgają ponoć 5 tys. lat wstecz. Tradycja mówi, że znaleziony on został na brzegu rzeki Godavari w Indiach południowych i że pierwotnie ważył około 1.000 karatów. Dokładna jego historia znana jest poczynając od wieku 14, kiedy znajdował się w posiadaniu mongolskich władców Indii. W w. 18 znalazł się w posiadaniu Nadir Szacha, perskiego najeźdźcy Indii, a później był własnością różnych książąt hinduskich. Istnieje legenda, że kto posiądzie ten diament, będzie władał światem, choć związane to będzie z wielkim niebezpieczeństwem dla życia właściciela. „Koh-i-Noor" dostał się później w ręce brytyjskiej Kompanii Wschodnio- Indyjskiej, która diament ten złożyła w darze królowej Wiktorii. Dziś zdobi on koronę królowej Marii. Waga jego wynosi 108 karatów.

Drugi słynny diament, tzw. Hope Diamond, o pięknym niebieskim odcieniu, ma również bogatą historię. Znajduje się on od paru pokoleń w posiadaniu brytyjskiej rodziny Hope. Trzeci wreszcie z „historycznych" diamentów, diament Habsburgów, ponoć przynosi swym właścicielom nieszczęście. Był on kolejno w posiadaniu władców mongolskich, podróżnika Marco Polo oraz cesarza Rudolfa II i innych członków rodziny Habsburgów. Dziś należy do króla Egiptu Faruka.

PRZESTĘPCZOŚĆ WŚRÓD CUDZOZIEMCÓW

Świeżo „Times" w dwóch obszernych artykułach omówił imigrację znacznej liczby cudzoziemców do Wielkiej Brytanii w ciągu ostatnich lat i ich udział w życiu gospodarczym kraju. Przy tej sposobności pismo stwierdziło, że wersje o kryminalnym czy niemoralnym zachowaniu się robotników cudzoziemskich — jak wiadomo dosyć rozpowszechnione — są „przesadzone w niedorzeczny sposób".

Potwierdzenie tego znajdujemy w sprawozdaniach policji londyńskiej, ogłaszanych w latach ostatnich. Stwierdzają one, że przestępczość wśród cudzoziemców w Londynie jest procentowo nie wyższa niż wśród obywateli brytyjskich.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

Zbliżenie kulturalne francusko - niemieckie. Jacques Robichon ogłasza w znanym periodyku paryskim „Les Nouvelles Littéraires" artykuł pt. „Czy Francja będzie mogła wprowadzić Niemcy z powrotem do społeczności europejskiej?". Artykuł ten charakteryzuje systematyczną i na wielką skalę zakrojoną akcję francuską w kierunku zbliżenia kulturalnego z Niemcami. Akcja ta prowadzona jest zarówno przez francuskie czynniki oficjalne, jak przez pisarzy i artystów francuskich.

Zrobiono przede wszystkim wielki wysiłek w kierunku wprowadzenia na niemiecki rynek czytelniczy książek francuskich, zarówno w oryginałach, jak w tłumaczeniach niemieckich. Wysiłek ten dał duże wyniki. W Frankfurcie, Berlinie, Hamburgu i Monachium urządzono wystawy książki francuskiej. Na specjalnej wystawie w Tybindze pokazano przekłady niemieckie prawie 500 dzieł literatury francuskiej, dokonane i wydane w ciągu niespełna czterech lat powojennych od r. 1945 do 1949. Zdaniem informatorów autora artykułu literatura francuska skutecznie rywalizuje w Niemczech z amerykańską, choć Hemingway, Dos Passos i Faulkner są tam nadal bardzo poczytni. Spośród pisarzy francuskich największe wzięcie mają Gide, Sartre, Bernanos, Claudel, Anouilh, Thyde Monnier oraz Saint-Exupèry („Terre des hommes" tego ostatniego rozeszła się w przekładzie niemieckim w 300 tys. egzemplarzy).

Najwybitniejsi pisarze francuscy przybywają do Niemiec, by wygłaszać odczyty. Odbywają się wspólne zjazdy naukowe i wycieczki profesorów i młodzieży dla wzajemnego zapoznania się i zbliżenia. Żywą działalność rozwijają Instytuty Francuskie we Fryburgu i w Monachium oraz ośrodki studiów francuskich w Trewirze i Tybindze. Dużą rolę odgrywa też zorganizowany przez Francuzów uniwersytet w Moguncji.

W dziedzinie artystycznej i teatralnej wysiłek jest niemniejszy. Od r. 1945 liczne francuskie zespoły teatralne i soliści odwiedzają kolejno różne miasta niemieckie. Teatry niemieckie mają w swych repertuarach ponad 100 utworów scenicznych francuskich, świeżo przetłumaczonych. W jednym tylko sezonie teatralnym 1949 — 1950 zespoły teatralne francuskie dały łącznie 400 przedstawień w 140 miastach niemieckich. Odbywają się wystawy obrazów i gobelinów francuskich.

Robichon przytacza na zakończenie wypowiedzi kilku niemieckich entuzjastów zbliżenia z Francją. Jeden z nich, pisarz i wydawca, Kurt Kusenberg, wyraża nadzieję, że wkrótce zarówno Francuzi jak Niemcy przestaną myśleć o Renie jako granicy.

Polityczni filozofowie. Uczony amerykański prof. G. Catlin jeszcze w r. 1939 ogłosił w Ameryce swą „History of the Political Philosophers", przedstawiającą dzieje myśli ludzkiej w tym zakresie. Dopiero teraz rzecz ukazała się i w wydaniu angielskim (Allen and Unwin, cena 30 sh.). Nie jest to dzieło bardzo wysokiej klasy, ale zawiera wiele interesującego materiału.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA 24 czerwca 1951

FANTASMAGORIE GŁODNYCH

Sprawy społeczne, które poruszone zostały obszernie w ubiegłym numerze, a poruszone będą jeszcze, niezależnie od stale poświęcanej im uwagi, w cyklu zasadniczych artykułów, musiały oczywiście naprowadzić na bardzo zasadniczy temat, — temat tła dziejowego, na którym się te wszystkie społeczne przemiany dokonują. Sądzę, że jeśli się dobrze zanalizuje istotę tego tła i zrozumie ją dokładnie, rozeznanie zagadnień społecznych samo się nasuwa, jak nasuwają się również jasno drogi wyjścia z konfliktów. Co tedy jest istotą owego — tła?

Od kilku stuleci społeczne życie ludzkie szło w dwóch warstwach pojęć: chrześcijańskich i laicystycznych. Pojęcia laicystyczne starały się wyprzeć pojęcia chrześcijańskie. Twierdzono, że w najlepszym razie tamte nadają się wyłącznie do zakrzątania kruchty, ale nie do kształtowania form politycznych, gospodarczych, społecznych i kulturalnych życia. To, co się od czasów średniowiecza działo i dzieje w tych zakresach na świecie jest dumnym dziełem myśli materialistycznej, chrześcijaństwo miało możność zaledwie łagodzenia owej radosnej i zarozumiałej twórczości.

Jeśli chciało by się z tego punktu widzenia przeprowadzić analizę stanu rzeczy na świecie w chwili obecnej, bez większego trudu odnalazło by się i poklasyfikowało we współczesnej rzeczywistości społeczno-politycznej te dwa zespoły pierwiastków: chrześcijańskich i materialistycznych. Oba zespoły są, rzecz prosta, w ruchu i aktywności, toczy się między nimi zasadnicza walka. Każdy z tych dwóch zespołów dąży do swego rozwinięcia do swej fazy następnej, pełniejszej. Chrześcijaństwo, katolicyzm, wiadomo do czego dąży. Dąży do sprowadzenia całego życia ludzkiego a więc i polityki, i ekonomii, i kultury spowrotem w obręb myśli i pojęć Kościoła. Ale do czego dąży myśl materialistyczna? Jaka jest jej faza następna, pełniejsza?

Fazą poprzednią materializmu był mit szczęścia, zorganizowanego przez naukę, raju ułożonego przez odkrycia przyrodnicze. To się zapadło tak oczywiście, że prawie nikt do tego już nie wraca. Na tym punkcie panuje u materialistów nawet wyraźne zakłopotanie. Ale istnienie zakłopotania wcale nie oznacza, iż myś materialistyczna zrezygnowała z nowych pomysłów. Tyle tylko, iż się na ten temat wstydliwie milczy.

I tu jest rzecz kluczowa, o której zainteresowani milczą, a wszyscy inni mało się tym interesują: prosta i bezpośrednią konsekwencja poprzedniej fazy materialistycznej jest komunizm. Słowem: kto jest konsekwentnym materialistą i kto zrozumiał, że „szczęście naukowe" zbankrutowało, musi przejść do następnej fazy materializmu, czyli do mitu komunistycznego szczęścia. Mało się o tym mówi, odpędza się nawet zawzięcie tę myśl, bo jest ona niewygodna i kompromitująca. Ale fakt pozostaje faktem: komunizm leży na linii rozwoju myśli materialistycznej.

Gdy w czasie wojny skarżono się Rooseveltowi (podobne zresztą skargi były i w Wielkiej Brytanii i podobna była na nie odpowiedź), że społeczeństwo amerykańskie zostało rozhuśtane propagandą prosowiecką prezydent Stanów Zjednoczonych miał odpowiedzieć, że gdy zajdzie potrzeba wystarczą 24 godziny na to, aby nastrój odwrócić o 180 stopni. Czyżby naprawdę?

Przypominam sobie dobrze to popołudnie w 1945 roku, kiedy z jednym z moich angielskich znajomych prowadziliśmy rozmowę na temat gróźb komunizmu. Po Teheranie i Jałcie starałem się go przekonać, że świat zachodni prowokuje niebezpieczeństwo, z którego nie będzie może ucieczki. — „Dlaczego?" — powiedział. — „Cóż z tego, że komunizm miałby przyjść do nas? Po pierwsze ten komunizm, który tu może przyjść — będzie inny, będzie nosił nasze piętno i zostanie przez nas uszlachetniony. Po wtóre, człowiek musi mieć w zakresie społecznym i gospodarczym jakiś ideał, którego mógłby się trzymać. Komunizm ma tę treść."

Grupa wybitnych Anglików wyjechała w 1945 roku do pokonanych Niemiec. Zwiedzali obozy koncentracyjne, obcowali ze zwyciężonymi niemieckimi okrucieństwami. Jedna z członkiń tej wycieczki zwiedzała nie tylko niemieckie obozy koncentracyjne, ale interesowała się bardzo również akcją Sowietów zbierania obywateli i ich najszybszego ekspediowania ich spowrotem do Rosji. Przypominam sobie w prasie jej na ten temat artykuł, w którym skarżyła się na to, iż nie wszyscy obywatele sowieccy chcą wyjeżdżać do swej postępowej ojczyzny, a wolą zostawać na Zachodzie. Po prostu nie mogła wyjść z podziwu nad podobną głupotą.

Ludzie, którzy planowali zorganizowanie doskonałego świata na podstawach naukowych, przeoczyli jedną ważną prawdę, którą zawsze zapoznają materialiści: oto, że człowiek nie może żyć jedynie myślą o dobrobycie, ale że musi mieć jakąś ideę ponadmaterialną, jakąś treść, w którą wierzy, dla której może się poświęcać. W świecie, który przygotował wiek XIX, wygasły wszystkie wielkie ideały, mogące zapełnić pustkę człowieka skazanego na mechaniczny dobrobyt. Powstały dwa powszechne zjawiska: u pewnego typu ludzi wystąpił gwałtowny głód treści, u innego typu ludzkiego — rozkład woli, rozpad ośrodków moralnych, dekadencja i inercja, dla których jedynym bodźcem jest zwierzęca siła materialna bez ceremonii potrząsająca ich zblazowaniem i cynizmem.

Dla obydwóch typów komunizm ze swą brutalną wyrazistością doktryny, ze swą natarczywością i bezwzględnością jest po prostu okazją. Dla pierwszych okazją nasycenia głodu treści, dla drugich nasycenia głodu wstrząsów. Ci ludzie, którzy bez ceremonii odrzucili wszelką metafizyczną treść, doszedłszy do skrajnych konsekwencji tego faktu, czepiają się teraz byle jakiej treści, aby nie utonąć w zupełnej beznadziejności.

W tym zjawisku tkwi kluczowa sprawa naszych czasów. Zagadnienie ideału, który porusza czynności człowieka. Podkreślałem poprzednio, że w obecnej rzeczywistości świata splatają się dwa rodzaje pojęć, chrześcijańskich i materialistycznych. Żyją również obok siebie dwa zespoły treści, dwa typy ideałów, jeśli kto chce tak powiedzieć: dwa wzorce bytu ludzkiego: katolicki i komunistyczny. Wszystko, co jest między tymi dwoma biegunami, wszystko, co jest lżejsze w natężeniu, słabsze w odcieniu w ogóle się nie liczy. Widać nie bardzo liczą się również dosyć mętne ideały „zachodnie", skoro nie mogą z ludzi wykrzesać żadnej dynamiki i nie stanowią dla nich atrakcji. Trzeba się liczyć z tym, iż prędzej czy później, a na pewno w chwili próby, większość ludzi wybierze i opowie się za jednym z tych dwóch wzorców. Czyli, że walki z komunizmem nie można prowadzić półśrodkami.

Myśli te stają się szczególnie jasne z okazji takich wypadków, jak ten ostatni, kiedy to cała policja wolnej Europy łowiła przez kilkanaście dni dwóch urzędników angielskich zafascynowanych komunistyczną utopią.

Józef Kisielewski

PO ŁEPKACH

O SZTUCE TEATRALNEJ ST. MACKIEWICZA

Mało kto z żyjących Polaków ma takie wyczucie sceny, jak Stanisław Mackiewicz. Mackiewicz gra od wielu lat na scenie narodowej bardzo dramatyczne sztuki własnego układu. Con amore też obsadza rolę protagonisty. Rodowód osobowości Mackiewicza idzie od księdza Orzechowskiego, który swoimi interpretacjami prawa kościelnego niepokoił Rzym i Koronę, od Łukasza Opalińskiego, który świetność pióra łączył z młyńcem szabli wokół własnych idej, od Maksymiliana Fredry, poplecznika liberum veto. Mackiewicz, jak i tamci, nie słucha historii, lecz chce nią sterować, nie podziela niczyich doświadczeń poza własnymi, nie czuje się źle w odosobnieniu, nie zbiją go z pantałyku żadne racje. Jest to rasowy aktor.

Sam nazwał swoje życie „straconym". To wyznanie, to jeszcze jedna patetyczna tyrada. Któż by nie pozazdrościł bujności życia temu człowiekowi? Wypełnił on sobą szmat dziejów polityki i kultury polskiej. Ale nie była to sztuka do naśladowania. Sztuka aktorska polega bowiem na niepowtarzalności. Stanisław Mackiewicz mógł się urodzić tylko jeden. Gdyby był stworzył „szkołę myślenia", wówczas nie byłby tym, czym jest, nie byłby sobą. Stanisław Mackiewicz to jedyny, nie do naśladowania styl i dzieło.

Jako urodzony aktor w polityce, ciągnął też ku scenie w teatrze. W swej działalności naśladował teatr. Podobno rozkosz jest patrzeć na Mackiewicza ucztującego. Również oczy można zgubić patrząc nań w teatrze. Mackiewicz chłonie każde słowo, przepowiada je sobie w myśli. Każdej chwili zdaje się, że się wmiesza do gry na scenie. Bierze scenę niezmiernie serio. Pojmuje każdą grę poważnie, a w sprawach najpoważniejszych dostrzega nurt zabawy. Życie swoje przeżywa jak aktor na scenie; nie zna granicy między sceną a życiem.

Badania literackie, mimo procesji książek, ciągle drepcą w miejscu, żywiąc się ustalonymi przez Greków i Rzymian kanonami. Historycy literatury i krytycy włączają niekiedy do piśmiennictwa pięknego wybitne dzieła polityczne lub historyczne. A przecież istnieje spora gałąź literatury pięknej, której przedmiotem jest polityka i dzieje polityczne. Fikcja literacka na tematy polityczne. Romans, dramat i komedia polityczna. Z takiej osnowy wyrasta właśnie twórczość Stanisława Mackiewicza.

Czy można np. jego „Historię Polski", poczynając od tytułu, traktować jako jakikolwiek inny rodzaj, niż literacki? Czyż można sztuczne ognie publicystyki Mackiewicza brać za cokolwiek innego, jak za nowele i opowiadania, których celem jest wzruszenie i przeżycie artystyczne, a nie przekonanie i racja myślowa? Pisarz oczywiście musi znać materiał. Jeśli opisuje katedrę, zna jej architekturę, jeśli będzie traktował o ogrodach, winach czy kwiatach, a jest przy tym prawdziwym pisarzem, pozna przedtem swoje przedmioty naukowo i wszechstronnie. Toteż i Mackiewicz, pisząc swe romanse i esseye polityczne, zna przedmiot świetnie. Ale obrabia go przede wszystkim jako beletrysta.

Niedawno ujawnił Mackiewicz nowy swój rodzaj pisarski: fikcję dramatyczną na tematy polityczne. Była to czytana w Klubie „Orła Białego" „sztuka w 5 odsłonach dramatycznych" pt. „Melina". Obecność czołowych polityków emigracyjnych, w tym rządu in corpore, na czytaniu sztuki, była jakby zamierzonym przedłużeniem rzeczy czytanej. Mackiewicz zapewne chichotał w duszy. Ludzie ci mogli odnieść słuszne wrażenie, że się z nich pokpiwa. Z jednej strony solidna dawka publicystyki, tęgie przesłanki polityczne, bardzo typowe postacie ze współczesności, a z drugiej — duchy, zjawy, sceny liryczne. A pfe! Przypuszczalnie ta część publiczności zrozumiała tylko jedno: że sztukę napisał Stanisław Mackiewicz.

Niespodziankę wszakże miała i publiczność o guście artystycznym. Tę na odmianę gorszył na scenie zmartwychwstały i na nowo otruty Hitler oraz motyli rój politycznych aforyzmów i frazesów. Zamiast rekwizytów polityczne broszury.

„Melina" wbrew politykom i wbrew estetom jest bardzo dobrą sztuką sensacyjno-polityczną o nieprzeciętnej dramatyczności. Jest to dramat idej politycznych. Autor ściąga z końców świata do gajówki alpejskiej idee: nazizmu, bolszewizmu, amerykanizmu, kapitału żydowskiego, konserwatyzmu, proletariatu i nacjonalizmu, ubiera je w ciała postaci fikcyjnych i dyryguje ich dialektyce. Nie zapomina przy tym, że idee wypowiadane są ze sceny, że więc podlegają jej prawom i wymogom.

Sztuka jest płynna, utrzymana mocno w cuglach dialogu, zajmująca, skonstruowana z precyzją myślową, lirycznie skąpa. Postacie doskonale zindywidualizowane. — Żadnemu z bohaterów nie sufluje autor, a jeśli kiedy wyraźnie przypomina się żywy Mackiewicz, to tylko w uosobieniu bolszewika, który jest w rozumowaniu raczej wiecznym Moskalem. Język dobry, tu i ówdzie porastający miłym chwastem regionalnym lub zgoła ostem rusycyzmu („w końcu końców"). Ciężar sztuki spoczywa nie na postaciach i nawet nie na akcji (zresztą ultra-sensacyjnej), lecz na dialektyce. Jest to „napowietrzne" starcie się światopoglądu hitlerowskiego z bolszewickim, żydowskiego z hitlerowskim bolszewickiego z żydowsko- kapitalistycznym itd. Postacie „Meliny" są uosobieniem idej politycznych. Hitler nawet przy szachach nie przestaje być Hitlerem, Żyd mając w rękach samego Hitlera woli go dobrze sprzedać, niż zgładzić ze ze świata itd. Powietrze ludzkie wnoszą do sztuki tylko dwie drugoplanowe postacie: wysiedlonej ze Śląska dziewczyny i wdowy po gajowym. To są tylko prawdziwi ludzie. Reszta to ideje, jakby personifikacje antycznych bóstw, przerobionych na sens współczesny. W takim klimacie dramatycznym trudno, rzecz jasna, o prawdopodobieństwo psychologiczne postaci i o realizm akcji. Akcja jest zupełną fantazją. „Melina" mogłaby się zwać z powodzeniem „Snem nocy zimowej".

St. Mackiewicz niełatwo znajdzie uznanie dla swego nowego dramatycznego rodzaju. Nie wpłynie to jednak zapewne na jego twórczość. Tacy ludzie najlepiej się czują twarzą do fali.

•

„Melinę" czytali: K. Belska, J. Katelbachówna, Wł. Majewska, S. Belski, A. Bożyński J. Kopczewski, W. Modrzeński. Reżyserował i scenariusz czytał Wacław Radulski. Lektura była jeszcze jednym sukcesem emigracyjnego teatru wyobraźni, który staje się walnym instrumentem kultury.

Następną sztuką czytaną będą fragmenty z „Niemców" Leona Kruczkowskiego.

* * *

Panu Profesorowi Marianowi Bohuszowi-Szyszko za „Łepki po łepkach" z całego serca dziękuję i zapewniam Go, że pogłębiły mój dla Niego podziw. Takt w polemice jest elementarzem, ale i fundamentem kultury.

Nieporozumienie polega na tym, że spostrzeżenia moje ograniczyłem do żyjących współczesnych i to na obczyźnie, nie sięgając do dziejów naszej kultury. Przeciwnie uważam, żeśmy zdradzili wielkość i oryginalność naszych tradycyj kulturalnych i obyczajowych.

Nie o Kochanowskiego zatem szło i nie o Mickiewicza, lecz o poetów pozy dzisiejszej, nie o Orłowskiego ni Pankiewicza, lecz o emigracyjnych gadułów przy pędzlu. Nie powiem jakich. Nomina sunt odiosa. Ale Pan Profesor zna ich doskonale.

Jan Bielatowicz

Z KRAJU

NOWI CZŁONKOWIE I NAGRODY PAU

Na dorocznym posiedzeniu publicznym Polskiej Akademii Umiejętności w dn. 2 bm. ogłoszona została lista nowowybranych członków krajowych PAU.

Na Wydziale Filologicznym — członkowie czynni krajowi: Ganszyniec R. — prof. U.J.; Lutosławski W. — emeryt; prof. Safarewicz J. — prof. UJ. Członek korespondent krajowy — Skwarczyńska S. — prof. Uniwersytetu Łódzkiego.

Na Wydziale Historyczno-Filozoficznym — członkowie czynni krajowi: Barycz H. — prof. Uniwersytetu Wrocławskiego; ks. Glemma T. — prof. UJ; Goruki K. — prof. Uniwersytetu Toruńskiego; Hartleb K. — prof. Uniwersytetu Toruńskiego; Labuda G. — prof. Uniwersytetu Poznańskiego; Lepszy K. — doc. UJ; Tomkiewicz Wł. — prof. Uniwersytetu Warszawskiego.

Na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym — członkowie czynni krajowi: Gatty-Kostyal M. — prof. UJ; Kozłowski R. — prof. Uniwersyt. Warszawskiego. Członkowie korespondenci krajowi: Kamecki J. — prof. Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie; Smerczyński St. — prof. UJ; Jabłoński Al. — prof. Uniwersytetu Toruńskiego.

Na Wydziale Lekarskim — członkowie czynni krajowi: Stołyhwo K. — prof. UJ; Supniewski J. — prof. Akademii Medycznej w Krakowie. Członkowie korespondenci krajowi: Biernacki A. — prof. Akademii Medycznej w Warszawie; Gruca A. — prof. Akademii Medycznej w Warszawie; Łukaszczyk Fr. — dyrektor Instytutu Radowego w Warszawie; Walewski J. — prof. Akademii Medycznej w Warszawie.

Na tym samym posiedzeniu ogłoszono listę nagród PAU, które otrzymali: prof. dr T. Sinko za pracę pt. „Literatura grecka" t. III cz. 1; prof dr K. Kuratowski za pracę pt. „Topologie" t. II; prof. dr J. Tokarski za pracę pt. „Techniczna przeróbka tufów wulkanicznych"; prof. dr Wł. Melanowski za pracę pt. „Optyka w okulistyce".

MUZEA

Przed wojną Polska posiadała 175 muzeów. Najnowszym z nich było katowickie Muzeum Śląskie, którego budowę ukończono w 1939 r., a którego otwarcie miało nastąpić w lecie 1940 r. po przeniesieniu doń zbiorów, gromadzonych przez 12 lat. Gmach muzeum Niemcy zniszczyli a zbiory rozgrabili. Podobny los spotkał Muzeum Etnologiczne, które Niemcy wywieźli do Lipska. Czy z jego zbiorów coś się zachowało — nie wiadomo. W Warszawie w 1939 r. bomby zniszczyły następujące muzea: Etnograficzne, Przemysłu i Rolnictwa, Kolejowe. W czasie powstania w 1944 r. Niemcy spalili Muzeum Przemysłu i Techniki. Spośród tych muzeów, które ocalały, prawie wszystkie poniosły poważne straty, no i oczywiście przepadły wszystkie muzea zza „linii Curzona".

Obecnie w Kraju jest 125 muzeów, z których nie wszystkie otwarte są dla publiczności. Wiele z nich trzeba było odbudowywać z niczego, trzeba było zaczynać prawie od nowa, a wszystkie, nawet te nietknięte, uległy „ludowej" reorganizacji. Powstają również zupełnie nowe muzea, jak np. Morskie w Szczecinie, Historyczne m. Wrocławia, im. M. Kopernika we Fromborku i Kultur Ludowych w Młocinach.

Frekwencja zwiększa się; oto parę cyfr: Ogółem muzea w 1949 r. zwiedziło 2.800.000 ludzi. Z tego 500.000 zwiedziło Muzeum Narodowe w Warszawie (oddziały w Wilanowie, Arkadii i Nieborowie); ponad 100.000 — Muzeum Narodowe w Krakowie, Wawel, Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, wrocławskie muzea Państwowe i Historyczne, Wielkopolskie w Poznaniu i Muzeum Martyrologii w Oświęcimiu.

Od dnia 1 stycznia 1950 r. wszystkie muzea w Kraju zostały upaństwowione. Ale z początku, w najtrudniejszym okresie, „inicjatywa prywatna" świetnie dawała sobie radę.

Tak np. już w trzy miesiące po skończeniu wojny Muzeum Narodowe w Warszawie zorganizowało wystawę pt. „Warszawa oskarża", z przewodnikiem zredagowanym w czterech językach. Z 50 następnych wystaw wymieńmy: Warszawa 1945 r. w rysunkach T. Kulisiewicza, „Caprichos" (sztychy) Goyi, Cypriana Norwida w 125-lecie urodzin, Mickiewicz — Puszkin itd. Równocześnie otwierano stałe wystawy, jak np. galerię malarstwa polskiego 18 i 19 wieku (straty z lat okupacji niemieckiej uniemożliwiły pokazanie 17 wieku), polską sztukę średniowieczną i inne.

Wielkopolska posiada Muzeum Prehistoryczne, które w swej pracy złączone jest z słynnymi wykopaliskami wielkopolskimi. Muzeum to wydaje również dwumiesięcznik „Z otchłani wieków".

Najbogatsze zbiory posiada oczywiście Wawel.

Reżym w swej „walce o pokój i o socjalizm" nie pominął i muzeów. Muszą one urządzać takie wystawy, jak np. 30-lecie Związku Radzieckiego, Lenino, wystawę poświęconą pamięci gen. K. Świerczewskiego itp.

W odbudowanych częściowo kamienicach rynku Starego Miasta w Warszawie powstanie Muzeum Historyczne Warszawy. Obejmie ono „stronę Dekerta", tj. 11 zabytkowych kamieniczek z 16 i 17 wieku, między którymi znajdują się kamieniczki Baryczków i Fukierów. Na razie ukończono odbudowę trzech kamieniczek.

KRONIKA KULTURALNA

NOWY ZARZĄD INSTYTUTU IM. GEN. SIKORSKIEGO. Prezesem nowowybranego Zarządu Instytutu im. Gen. Wł. Sikorskiego został Gen. Marian Kukiel na miejsce Prof. St. Strońskiego, który pozostał w Zarządzie. W skład Zarządu wszedł również P. Stefan Zamoyski. Na miejsce gen. Kukiela jako zastępcy przewodniczącego Rady Instytutu wszedł obecnie amb. Raczyński. Prezesem Rady jest lord Elgin.

NOWE NAGRODY LITERACKIE. Komitet Pomocy Uchodźcom Polskim ufundował nagrodę za ogólną działalność literacką dla pisarza przebywającego na emigracji w kwocie 40 funtów.

W skład jury powołano: St. Strońskiego, T. Terleckiego i J. Kisielewskiego.

Również Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii rozważa ewentualność ufundowania nagrody literackiej.

WIECZÓR KU CZCI WACŁAWA BOROWEGO. Sekcja Humanistyczna Polskiego Towarzystwa Historycznego w Londynie urządziła w sali bibliotecznej Polish Research Centre wieczór poświęcony pamięci śp. prof. W. Borowego.

Pod przewodnictwem Prof. St. Strońskiego kolejno naświetlali życie i dzieło Prof. Borowego: dr Maria Danilewiczowa, Gregor Mac Donald oraz Prof. Wł. Folkierski. Znakomitych tych wspomnień i rozpraw nie streszczamy, gdyż wypełnią one numer specjalny ŻYCIA, poświęcony Wacławowi Borowemu.

25 ROCZNICA ZGONU JANA KASPROWICZA. W dniu 2 sierpnia przypada 25 rocznica zgonu Jana Kasprowicza. Wieczory kasprowiczowskie przygotowują: Związek Pisarzy Polskich oraz Stowarzyszenie Polskich Kombatantów.

TWÓRCZOŚĆ POETYCKA ST. BALIŃSKIEGO. Stanisław Baliński wydał nakładem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich tomik przekładów „Ód" Johna Keatsa. Ten wielki romantyk znany jest stosunkowo mało w Polsce, więc tłumaczenie Balińskiego zapewnia „Odom" wielkie znaczenie poetyckie w języku polskim.

Stanisław Baliński kończy obecnie poemat obyczajowy z roku 1848 pt. „Kareta pocztowa". Są to dzieje podróży dyliżansem z Wilna do Warszawy wiosną roku 1848. Cóż za prześliczny pomysł poetycki!

ŁOBODOWSKI W ANGLII. W najbliższych dniach przybywa na krótki pobyt do Anglii Józef Łobodowski.

„WPŁYWY SOWIECKIE W POLITYCE WYZNANIOWEJ PAŃSTW ZA ŻELAZNĄ KURTYNĄ". Odczyt pod powyższym tytułem wygłosił w Instytucie Wschodnim „Reduta" p. Jerzy Lubecki. Odczyt wywołał ożywioną dyskusję.

•

Prof. Tadeusz Sinko, znakomity filolog i historyk literatury klasycznej, obchodził 50-lecie swej pracy naukowej. Uroczystość jubileuszowa odbyła się w auli U. J. w ramach uroczystości odnowienia doktoratu po 50 latach. Z tej okazji wydano również księgę pamiątkową.

Roman Zawistowski objął dyrekcję Teatru Śląskiego w Katowicach.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly, ŻYCIE, 12, Praed Mews, London W.2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed" (//), wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1; w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocz. 52 pesos. Przedstawicielstwo: „Libreria Polaca", Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: Zbigniew Wróbel, 43, rue d'Irlande, Bruxelles, St. Gilles — FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs., Przedstawicielstwo „Libella" Librairie, 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV-ème. — NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM., kwartalnie 7.00 DM. Przedstawicielstwo mają: „Informacja Prasowa", (23) Quakenbrück, Schiphhorst 2. i Księgarnia „Wiedza", Schwandorf/Bayern, Bahnhofstrasse 19. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P. K. S. U. Veritas. Section Suise, Case Postale 19, Fribourg 2 — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwart. 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski, Anggatan 6c, Lund. Sverige. Sweden. — U.S.A.: — kwartalnie pocztą zwykłą 2 dol., pocztą lotniczą 5 dol. Przedstawiciele: 1) Antoni Stojanowski, 10, East 18th Street, Bayonne, N.J. 2) Gryf Publication, 808, Wager St. Utica, 3) E. Bagiński, 3690 Helen Avenue, Deroit 7, Michigan, 4) St. Palczewski, 1079 N. Marshfield, Chicago 33, Illinois.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734